TYGODNIK ILLUSTROWANY

DNIA 5 B. M. W OBECNOŚCI P. MINISTRA WACŁAWA JĘDRZEJEWICZA I P. MINISTRA JULJANA PONIATOWSKIEGO, PRZEDSTAWICIELI WŁADZ, NAUKI I SZTUKI, PANI PREZYDENTOWA MOŚCICKA DOKONAŁA ODSŁONIĘCIA POMNIKA MARJI CURIE-SKŁODOWSKIEJ DŁÓTA P. NITSCHOWEJ



NR. 37
15 września 1935
Cena 1 zł.



Paula Wessely, niezapomniana bohaterka filmu „Maskarada" i Karol Wiehl ukażą się wkrótce w czołowym filmie wiedeńskim p. t. „Epizod". Film zdubbingowany: aktorzy mówią po polsku

»GRAM TYLKO DLA SIEBIE!...«

— Gram tylko dla siebie i nie chcę ze sceny widzieć publiczności. Chciałabym, aby słowa moje mówione do kolegów trafiały jak do drogich przyjaciół. Absolutnie nie chcę myśleć o tem, że „gram"! Bo pragnę mieć rolę, która jest mną samą. A wtedy stawiam sprawę: jakby to było naprawdę, gdybym przeżyła to, co teraz mam grać? To stale sobie powtarzam. I wówczas mogę spędzać na scenie długie wieczory i noce i nikogo nie widzieć na widowni. Bo gram tylko dla siebie, a publiczność, jeśli zechce, może wówczas na mnie patrzeć. — Oto słowa wyznania Pauli Wessely, odtwórczyni głównej roli w czołowym filmie produkcji wiedeńskiej „Epizod", bohaterki niezapomnianej „Maskarady'; słowa wyznania wielkiej artystki, która w „Epizodzie" bierze w niewolę serca ludzkie swym olbrzymim talentem, niedoścignioną grą i nieodpartym urokiem osobistym. A przytem film zdubbingowany: Paula Wessely po polsku.



Propaganda teatru polskiego

Ukazała się w druku publikacja w języku francuskim pod tytułem „Teatr w Polsce" („Le Théâtre en Pologne"), pod redakcją d-ra A. Guttry'ego.

Jest to biuletyn teatralny Związku Autorów Dramatycznych i Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych, 4-ta część cyklu, obejmującego całokształt spraw teatralnych w Polsce. Pierwsze dwie obejmowały dzieje teatru polskiego, jego dawniejszą organizację i szczegółowe informacje, dotyczące wystawionych sztuk teatralnych oryginalnych i tłumaczonych. Część trzecia była poświęcona całkowicie Wyspiańskiemu i ukazała się w roku jubileuszowym. Wydawnictwo obecne (z lipca r. b.) przynosi między innemi historję polskiej sztuki aktorskiej, oraz historję opery. Uwzględniony został także balet. Ponadto zobrazowano całokształt wydarzeń teatralnych w ostatnich dwóch latach, a więc przeobrażenia organizacyjne, premjery sztuk polskich i zagranicznych, udział polskiej twórczości dramatycznej w repertuarach zagranicznych.

Autorami prac zamieszczonych w „Le Théâtre en Pologne" są: A. Guttry, J. Lorentowicz, W. Zawistowski, A. Wieniawski, S. Głowacki, J. A. Hertz i F. Szyfmanówna.

Zeszyt wydany bardzo starannie zawiera 42 ilustracje.

Jako całość, złożona z czterech części, staje się „Le Théâtre en Pologne" dla zainteresowanego cudzoziemca małą encyklopedją, zredagowaną przejrzyście, treściwie, bez balastu nużących szczegółów, z myślą o uwydatnieniu oryginalnych i charakterystycznych cech teatru polskiego.



Ładowanie autobusu na okręt angielski

Prenumerujcie czasopismo popularno-językowe

„ECHO OBCOJĘZYCZNE"

wychodzące co miesiąc w 2-ch wydaniach językowych: Francusko-Polskiem (FP) **„L'Echo Franco-Polonais"** i Niemiecko-Polskiem (NP) **„Deutsch-Polnisches Echo".**

Ciekawa treść: anegdoty, nowele, humoreski, wyimki z prasy zagranicznej, wzory listów handlowych i t. d. wraz z przekładem polskim i uwagami. Doskonały środek pomocniczy w nauce języków.

Prenumerata każdego wydania językowego wynosi: **rocznie 8 zł., półrocznie 4 zł., kwartalnie 2 zł.** (Prenum. całoroczna obu wydań: 15 zł.). N-r pojedyńczy 70 gr.

Adres redakcji i administracji: **Warszawa, ul. Waliców 3/4. — Tel. 613-40.** — Konto w P. K. O. Nr. 25.635.

N-ry okazowe wysyła się bezpłatnie!

NATURALNYM, ŁAGODNYM ŚRODKIEM PRZECZYSZCZAJĄCYM SĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA" GĄSECKIEGO (z KOGUTKIEM) STOSOWANE PRZY CHOROBACH: ŻOŁĄDKA, KISZEK, WĄTROBY, WZDĘCIU BRZUCHA, KAMIENI ŻÓŁCIOWYCH i SKŁONNOŚCI DO ZAPARCIA.

CZYTAJCIE „NAOKOŁO ŚWIATA"

SUKNIE E. KAMIŃSKA PALTA
WARSZAWA · WILCZA 35 m. 3 TEL. 9.80-79

TYGODNIK ILLUSTROWANY

ROK 76 Nr. 37 (OGÓLNEGO ZBIORU 3,953) 15 WRZEŚNIA 1935



Dnia 6 b. m. w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej nastąpiło uroczyste otwarcie Międzynarodowego Kongresu Meteorologów w Warszawie

SZARY CZŁOWIEK CZY SZARA LITERATURA?

W poszukiwaniu hasła dla naszej współczesnej literatury wynaleziono „szarego człowieka".

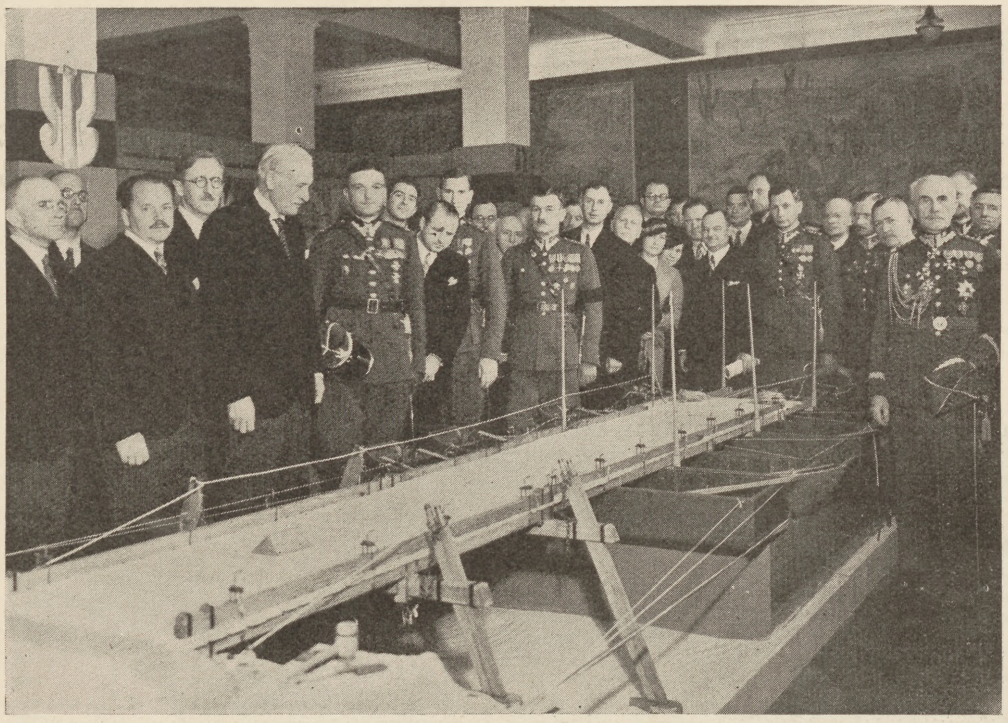
Pierwszą reakcją zdrowego rozsądku na to modne literackie zawołanie jest uwaga, że częstują nas odgrzewaną starzyzną. Wprowadzenie do literatury człowieka „szarego", to znaczy zajmującego poślednie miejsce w hierarchji społecznej ma wiekową z okładem tradycję, jeśli zgodnie z podręcznikami historji literatury oznaczyć jej początek datą zwycięstwa „romantyzmu" nad „klasycyzmem". Jest to zresztą ujęcie bardzo nieścisłe; szary człowiek nie był na dobrą sprawę nigdy banitą literatury. Dość przypomnieć sobie pewne postaci Szekspira lub Cervantesa, czy „człowieka poczciwego" naszego Reya. A cóż dopiero cały wiek dziewiętnasty, na polu literatury przez „szarego człowieka" dosłownie ujarzmiony: Flaubert, Dickens, Dostojewski, Czechow, Prus... Szarzyzna triumfuje. I jakże tu teraz podawać ją jako hasło dnia, jako krzyk współczesności?

Ale zdrowy rozsądek miałby jeszcze coś do powiedzenia. Co to znaczy „szary człowiek"? — Czy chodzi o jego niską rangę społeczną? — Jeśli tak, to określenie „szary człowiek" nie nawiele się przyda literaturze. Jakże bowiem często człowiek „szary" miewa skomplikowane i bujne życie wewnętrzne; odwrotnie, człowiek z wysokiego szczebla drabiny społecznej bywa nieraz właścicielem wnętrza bardzo szarego. Czytelnikowi jest wszystko jedno czy powieść traktuje o cesarzach czy o kominiarzach; chodzi mu o to tylko, czego się o tych ludziach dowiaduje i czy to czego się dowiaduje jest czy nie jest ciekawe. — A może chodzi tu o szarość psychiczną, o pospolitość i że tak powiem popularność przeżyć? — Aby jednak na to pytanie odpowiedzieć, trzeba już, jak mówili nasi ojcowie, wejść „in medias res".

Zagadnienie sprowadza się do tego, czy kategorja „szarego człowieka" jest czy nie jest kategorją orjentacyjną w literaturze. Podział literatury na traktującą o możnych i ubogich, pospolitych i wielkich, nie jest oczywiście podziałem literackim. Ma on zresztą swoje uzasadnienie praktyczne. Literatura „szarego człowieka" (w najpospolitszem rozumieniu, jako literatura opisująca życie maluczkich) należy do tej rodziny dystynkcyj, co podział powieści na „pogodne" i „ponure", z dobrym i ze złym końcem, albo wedle tematów na powieści z życia ludu, szlachty i t. d. Można naprzykład powiedzieć — i będzie to nawet prawda—że Conrad był marynistą. Ale takie zdanie w krytyce literackiej nic nie znaczy. Zato przytoczone tu określenia odgrywają pewną rolę w życiu potocznem. Są naprzykład przydatne w wypożyczalniach książek. Ktoś bierze do ręki powiedzmy „Hamleta". — Czy to wesołe? — Nie proszę pani, smutne. Jak pani chce wesołe, to dam pani coś Zygmunta Nowakowskiego. — W tych dwóch zdaniach zrozumiały się odrazu dwie dusze. — Nie myślę przeczyć, że „literatura szarego człowieka" może być w podobnych sytuacjach wielce przydatna jako klucz porozumienia.

Poznanie literatury postępowało zawsze w dwóch wersjach: głębszej — i płytszej, poprzestającej na rozróżnieniach zewnętrznych. Literatura nie jest tu zresztą wyjątkiem. Wersja „egzoteryczna" odgrywa rolę i w naukach przyrodniczych.

Geograf naprzykład powiada, że jakieś pasmo górskie leży o sto kilometrów na



Pan Prezydent Rzeczypospolitej zwiedza w gmachu Politechniki Warszawskiej Wystawę Drogową

południe od Paryża. Jest to wskazówka zewnętrzna, orjentacyjna; Paryż bowiem, jako miasto, a więc wytwór ludzki, nie należy do zakresu przedmiotów, któremi zajmuje się geografja. Ale byłoby niepotrzebną pedanterją walczyć z takiemi pomocniczemi środkami informacji, skoro ich pożytek (np. dla podróżnika) jest widoczny. Możnaby też śmiało zostawić w spokoju „literaturę szarego człowieka", gdyby nie to, że występuje ona coraz głośniej z uroszczeniami wyraźnie literackiemi, że bierze się ją coraz bardziej serjo, a nawet zaczyna walczyć w jej znaku.

A przecież określenie „szarego człowieka" nie jest określeniem charakterologicznem, pozbawione jest też jakiegokolwiek ściślejszego sensu. Kto je bierze poważnie, ten nie zdaje sobie sprawy, na jakiej głębokości pracuje dzisiejszy pisarz europejski. Kulisy wnętrza ludzkiego są już dziś tak wszechstronnie zbadane, a fauna głębinowa duszy tak wspaniale opisana, że zagadnienie „szarości" czy „kolorowości" człowieka, jako sprawa pierwszego, praktycznego raczej, niż badawczego rzutu oka na „model" traci wszelki sens. Dla pisarza jest ona tak samo obojętna jak — wolno przypuszczać — obojętne jest rybie głębinowej bzykanie komarów nad powierzchnią wody. O wyborze bohatera („szarego" lub „nieszarego") decyduje dostępność materjału. Bierze się tematy, które się zna i które się gruntownie przeeksperymentowało. Ale segregowanie literatury na poświęconą „szaremu" czy innemu człowiekowi byłoby — wobec przeniesienia punktu ciężkości pisarstwa na inny poziom — czemś równie fantastycznem, jak podział świata fizykalnego (to znaczy ogółu zjawisk, któremi zajmuje się fizyka) na przedmioty przyjemne i przykre, foremne i nieforemne i t. p.

To, że w Polsce podobny podział się utrzymuje, świadczy najlepiej (a raczej najgorzej) o dystansie, dzielącym naszą współczesną literaturę od wielkich literatur europejskich.

Najważniejszym czynnikiem, który wysunął u nas hasło literatury „szarego człowieka" jest impuls pewnych nastrojów społecznych. Mniejwięcej wszyscy się godzą, że Polska musi się oprzeć o „szarego człowieka", o skoordynowany wysiłek ludzi różnych warstw społecznych i że w tym koncercie właśnie warstwy tak zwane „niższe" odegrają wielką rolę. To samo zresztą mówi się w innych krajach, z tą wszakże różnicą, że tam ideologja pracy jest głębiej przemyślana i ma solidne oparcie w jakiejś panującej historjozofji i filozofji społecznej. U nas zaś chodzi luzem i każdy ją sobie przystraja własnym ulubionym frazesem (patrjotycznym, czerwonym, humanitarnym i t. d.). Tam zrodziła ona dzieła podszyte doktryną, co zresztą literaturze na dobre nie wyszło (odstraszający przykład tendencyjnych powieści sowieckich). U nas, gdzie literatura wolna jest od nacisku doktrynalnego, ale gdzie istnieje powszechna powinność frazesu, nakładająca o wiele cięższe obowiązki niż doktryna, zwyrodnienie przybrało inną formę. Uderzono w sentymentalizm, bardzo przemyślnie maskowany brutalnością (markującą „współczesność" i „postępowość"). Nie wybrano drogi w głąb, która była wolna — (nie zagradzała jej żadna barykada doktryny), ale wzięto linję szturmowych efektownych ataków. I znowu brutalność przyszła z odsieczą. Brutalność — demaskuje. Jest „z natury" odkrywcza; obnaża człowieka, ukazuje pokłady, ukryte pod warstwą konwenansu, przytłumione strachem, wyrachowaniem. Kto się poważy być brutalny, ten ma zagwarantowany nimb odkrywcy. — Pozornie. Wszystko bowiem zależy od tego, w jakim punkcie się człowieka demaskuje: czy zdziera się lekką, niedbale narzuconą zasłonę, czy dociera się do głębokich i gęsto zamaskowanych pokładów.

U nas postulatu duszoznawczego nikt do serca tak bardzo nie bierze. Realizm opisu, jego „śmiałość" osiąga się raczej zuchwalstwem, niż głębią analizy. I ponieważ pozostaje się wciąż na powierzchni życia, więc zewnętrzna tematowość staje się tak dalece zasadniczym motywem literackim, że usprawiedliwia powstawanie takich kategoryj pojęciowych, jak „literatura szarego człowieka". Ale z takiej łatwości klasyfikacyjnej należałoby krytyce wysnuć właściwe wnioski...

Powieść o „szarym człowieku" napisał Céline. Walimy z nim jakąś piekielną windą na samo dno duszy ludzkiej, ukazują się nam coraz to nowe jej złoża. Znaleźliśmy się w dżungli, czujemy żar jej oddechu, który jest oddechem nieskończoności zagrzebanej w człowieku, tym wulkanie i zarazem cmentarzysku okropności. Czytając tę książkę, równie wspaniałą co wstrętną, wspominamy słynne powiedzenie Dostojewskiego: człowiek jest za obszerny, jakże chciałbym go ograniczyć!

I cóż znaczy wobec dzieł o takiem rozpięciu twórczem określenie „literatury szarego człowieka"? Nikomu, rozumiejącemu się na literaturze, nie przyszłoby do głowy.

Zaryzykowałbym pogląd, że legenda literatury „szarego człowieka" powstała u nas jako odruch samoobrony przed zarzutem płycizny, którego słuszność wyczuwa się podświadomie. Że niby sam temat „zniewala". Jakże można o „szarym człowieku" pisać inaczej, niż szaro? Ale znowu pisać o nim trzeba, jako, że jest czcigodny, że na nim stoi Polska i t. d. Słowem literatura mogłaby być zupełnie inna, ale nie chce — przez szlachetność...

Literatura każdej epoki ma swój, że tak powiem, protokół dyplomatyczny, gest, decorum, maniery. Nasi romantycy przywdziewali płaszcz pielgrzymi, Młoda Polska chodziła w pelerynie, uniformem dzisiejszej literatury sowieckiej jest skórzana kurtka (o ile ta moda w kraju najbardziej zmiennych upodobań jeszcze się utrzymała). Gdyby chodziło o życiowy odpowiednik literatury „szarego człowieka", mam wrażenie, że trzebaby brać wzór znowu z Céline'a. Mieszka w jakiejś tam norze na Montmartrze razem z jedną z opisanych w „Podróży do kresu nocy" przyjaciółek, odwrócony do dóbr i cnót tego świata conajmniej plecami. — Jest jednak pewna słuszność i „klasa" w tem, że pisarz odtwarza swoją postawę twórczą w życiu, że jest ona dla niego nietylko programem literackim, lecz i dobrowolnie dźwiganem przykazaniem. To wzajemne odpowiadanie sobie człowieka i twórcy pozostanie nazawsze probierzem uczciwości pisarza, świadectwem indywidualnej ceny jego twórczości.

Jakże dziwnie w świetle tego postulatu wygląda nasza literatura „szarego człowieka", najbardziej wyfraczona, oficjalna i protokólarna z literatur! — To ludzie. A dzieła? — Co otworzysz książkę, to natrafisz na jakieś „copcysko", coś ci zachlipie, zasiorpi, ktoś kogoś zatyrpa, zajedzie ci pod sam nos fetor niepranej bielizny, sypnie ci w oczy kurz podmiejskiego śmietnika. — W tych pracowicie ciułanych zdaniach skrapla się zaduch nędzy, szlifowanej z jubilerskim sybarytyzmem; słowem: frak i copcysko. — Taki jest ich protokół. Mam wrażenie, że mało przemyślany i mało gustowny.

J. E. Skiwski

Ze świata



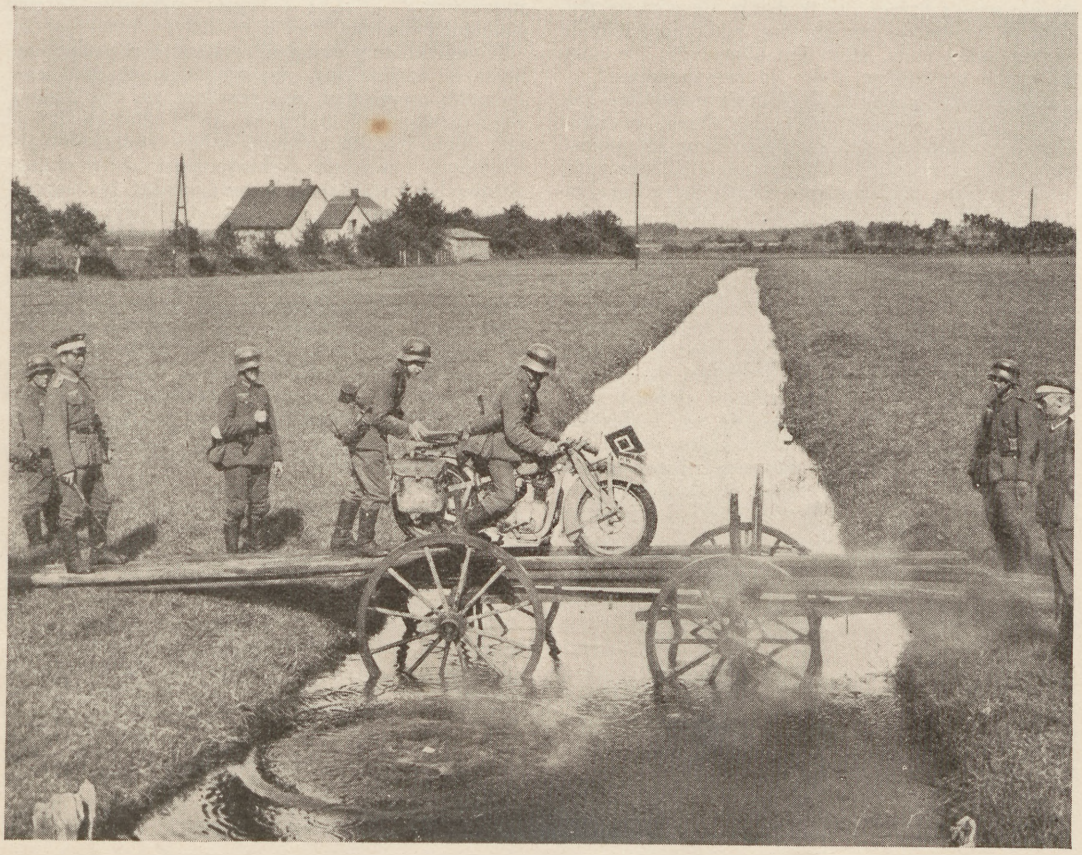
Zaręczyny na dworze angielskim: Duke of Gloucester zaręczył się z lady Alice Montagu - Douglas-Scott



Prezydent Roosevelt podpisuje nową ustawę Federal Reserve Bank

P. Ghiti-Ara Arasteh, córka ustępującego posła Iranu w Warszawie, który objął placówkę dyplomatyczną w Ameryce Południowej

Pomysłowy most na manewrach niemieckich





IDEE I ZDARZENIA

Wybory

Czytamy w *Czasie* (nr. 248):

„Fakt, że zgórą 50 proc. wyborców nie skorzystało z przysługującego im prawa, można rozmaicie oceniać, zależnie od tego, jakie okoliczności uzna się za istotne powody abstynencji. Opozycja niewątpliwie będzie twierdzić, że abstynencja została spowodowana wrogim stosunkiem społeczeństwa do systemu pomajowego, i będzie na podstawie niedzielnych wyników wysnuwała wniosek, że system ten jest coraz słabszy. Rozumowanie powyższe, jak większość rozumowań opozycji, jest oczywiście tendencyjne i nie odpowiada istniejącej rzeczywistości. Społeczeństwo nasze pragnie bowiem w olbrzymiej swej większości utrzymania spokoju, ładu i porządku, rozumiejąc, że tylko obóz dziś w Polsce rządzący, posiada ku temu potrzebne kwalifikacje. Być może, że część tych, którzy w niedzielę nie spełnili swego obywatelskiego obowiązku, chciała tą drogą osłabić rząd. U znakomitej większości, jesteśmy o tem głęboko przekonani, motywy abstynenckie były inne".

Powody abstynencji tkwią „w braku dostatecznego zainteresowania u społeczeństwa sprawami publicznemi. Społeczeństwo, jak to pisaliśmy parę dni temu, czuje się bezwolnym przedmiotem woli rządzących, nie wierzy, by mogło być choć częściowo współtwórcą tej woli, nie wierzy, by mogło na bieg spraw państwowych wywrzeć jakiś wpływ, i dlatego ogranicza się w najlepszym razie do roli obserwatora, czynnego udziału w życiu publicznem nie chce brać, bo... nie warto.

Powyższa diagnoza, którą uważamy za jedynie słuszną, zmusza do wyciągnięcia kilku bardzo zasadniczych wniosków. Jeśli powodem abstynencji był brak wiary w możność wywarcia wpływu przez udział w głosowaniu na życie państwowe, i spowodowany przez to brak zainteresowania, to winę za ten smutny objaw ponosi nie opozycja, lecz obóz rządzący. Obóz ten umiał i umie rządzić, może się poszczycić niejednym dorobkiem, niejednym sukcesem, ale pomimo tych sukcesów nie potrafił nawiązać ze społeczeństwem dostatecznie ścisłego kontaktu. Utrzymywanie tego kontaktu, wciąganie sił społecznych do życia państwowego, organizowanie społeczeństwa było zadaniem Bezpartyjnego Bloku. Otóż Blok położył znaczne zasługi na terenie parlamentu. Wszystkie, dokonane reformy z reformą ustroju naczele są jego dziełem i zasługą. Jednakowoż, jako organizacja, mająca związać społeczeństwo z obozem pomajowym, Blok nie zdał egzaminu".

„O ile ilość głosujących napawa pesymizmem, o tyle sposób głosowania tych, którzy się zgłosili do urny wyborczej, dowodzi u nich znacznego wyrobienia i namysłu. I to jest pocieszające. Uderzającym jest przedewszystkiem fakt, że zostało wybranych wielu kandydatów, którzy figurowali nie na pierwszem lub drugiem, lecz na dalszych miejscach. Dowodzi to, że głosujący nie czynili tego mechanicznie, lecz czynili odpowiedni wybór między kandydatami. Uderzającem jest dalej, że największe ilości głosów uzyskali kandydaci, znani nie ze swej politycznej działalności, lecz z pracy gospodarczej lub społecznej. Ci kandydaci, którzy mogli się wykazać tylko działalnością polityczną, nie znaleźli u wyborców uznania. Krzykacze wiecowi nie mieli szczęścia, głosy szły na tych, którzy mogli się wykazać pozytywną pracą".

„Nowy sejm rozpocznie swoją pracę w warunkach trudnych. Nietylko dlatego, że będzie miał ciężkie zadania do spełnienia, lecz przedewszystkiem dlatego, że będzie musiał dopiero zdobyć sobie oparcie w opinji społecznej. Nowi posłowie będą musieli się wykazać rzetelną pracą, niezależnością sądu, odwagą konsekwentnego postępowania, by przekonać opinję, że sejm w nowym ustroju ma ważne zadania do spełnienia, że jest w możności te zadania spełnić, i że wobec tego warto i trzeba w jego wyborze brać udział".

Betanja

Francuzi wymyślili „grób nieznanego żołnierza", zdumiewający akt prostoty i zarazem hołdu, zrozumiałego dla całego narodu. Francuzi umieli z najniższego odznaczenia żołnierskiego, „medalu wojskowego" zrobić najwyższy order wojskowy z chwilą gdy go zawieszają na piersiach wodzów. W żadnym chyba innym narodzie nie przełamano w tym stopniu prawa antynomij, a zrobiono to w imię uwielbienia w człowieku — samego człowieczeństwa i w imię wiary w zdolności osiągania doskonałości mimo największych przeciwności życiowych. Nie co innego tkwi także w idei „Legji Cudzoziemskiej" i jej przedziwnego odpowiednika, Betanji.

Betanja — to klasztor dominikanek w Montferrand (dep. Doubs), założony przez o. Lataste, który mu zostawił regułę, streszczającą się w słowach: „Pan Bóg nie pyta nas czem byliśmy, wzrusza Go jedynie to, czem jesteśmy". Zapewnienie to dał o. Lataste aresztantkom jednego z więzień, albowiem Betanja ma najściślejszy związek z kobietami, które siedzą po więzieniach, które ściga sprawiedliwość ludzka, i dla których wyjście z więzienia między ludzi jest wejściem w życie, czujnie strzegące ich usankcjonowanej więzieniem hańby.

Według wzruszającej relacji *O. M. H. Lelong'a* zamieszczonej w przekładzie p. Róży Szeptyckiej w *Przeglądzie Powszechnym* (nr. 9) zakonnice z Betanji spełniają trojaką funkcję: czekają u siebie na te „które ujdą sprawiedliwości, i które chciałyby zatrzeć szkaradną przeszłość"; idą do więzień, aby pozyskać do Betanji aresztantki, kończące swoją karę, zwalniane przedterminowo, i aby podtrzymać nadzieją Betanji te wszystkie, które nierychło jeszcze opuszczą mury więzienne; przez bezpośredni kontakt z nieszczęsnemi istotami wyzwalają je z udręki przeszłości i rehabilitują całkowicie w godności ludzkiej, wprowadzając do zakonu na równych prawach sióstr i zacierając wszelką między niemi a sobą różnicę.

„Betanja — wyjaśnia autor — nie jest bynajmniej przytułkiem lub domem ochronnym. Nie jest to również klasztor, w którym, przy zakonnicach na tyle dobrych, by przygarnąć marnotrawne dzieci, przychodziłoby się opłakiwać dawne winy. Nie; chodzi o dzieło zupełnej rehabilitacji, to znaczy, że stoimy u zbiegu dwóch rzek tak złączonych, że odtąd nie będzie można odróżnić wód czystych od tych, które toczyły wody mętne lub zatrute. Mówiąc bez przenośni: w Betanji dziewczęta złego prowadzenia żyć będą z temi, które nigdy nie zgrzeszyły i przez szereg duchowych przeobrażeń połączą się w jednem i tem samem życiu zakonnem".

Przygarnięte do Betanji kobiety przechodzą przez kilka grup, odpowiadających hierarchji w normalnych zakonach, ale różnice w zewnętrznych „dystynkcjach" są tak nieznaczne (n. p. czarny habit, biały welon lub odwrotnie), że od samego początku są zrównane wszystkie ze wszystkiemi. Główna akcja idzie w innym kierunku:

„To, niemożliwe po ludzku, dzieło uzdrowienia, odkażenia, urzeczywistnia się przez czystość dusz anielskich. Nie będzie nikt nigdy wiedział, jakie tam staczają się walki. Młodej nowicjuszce, której zło nie musnęło nigdy, powierza się modlitwę za tę, która dopiero co wyszła z paszczy wilka. Powierzamy to, co najbardziej skażone, temu, co najczystsze, powiedziała mi matka mistrzyni nowicjatu, świadek walk wzruszających. Mówi, że nie wie, z której strony dzieją się większe dziwy. Te biedactwa przybywają opatrzone jedynie w swą dobrą wolę, która jest olbrzymia, i w skutki swych występków, które są przytłaczające".

Jest to więc praca człowieka dla człowieka. Jak każdy ludzki wysiłek może się okazać niezaraz skuteczny. Zdarza się, że „rehabilitantki" porzucają habit. Nikt ich nie zatrzymuje, zazwyczaj wracają same, narkotyk odrodzenia moralnego, tajemniczy czar zdobytego spokoju duszy, czar Betanji działa już nieodparcie.

Autor „Betanji" jest księdzem-zakonnikiem, gospodarzą w Betanji zakonnice, ani więc w artykule ani w klasztorze niema atmosfery świeckości i „czystej etyki". Jest, wprost przeciwnie, atmosfera religijna, katolicka. Kogokolwiek to razi, niech o niej zapomni i nie rozdrażnia się zbytecznie, zato niech wmyśli się tylko w głęboką ludzkość tej sprawy, aby przyznać, że nie znaleziono chyba nic piękniejszego w swojej prostocie i nic bardziej celowego dla osiągnięcia zwycięstwa, o które kuszą się najliberalniejsze kodeksy i zabiegają najbardziej nowoczesne organizacje opieki nad „upadłemi".

Boga wzrusza jedynie to, czem jesteśmy — mówi założyciel Betanji. Lata, spędzone w więzieniu, można tak wyrównać z latami, spędzonemi w Betanji, że wszystkie okażą się jednem pasmem, jedną ciągłością życia, rodzeństwem równie sharmonizowanem jak dobre siostry-dominikanki z siostrami-„rehabilitantkami".

Kwanty w „Polsce Zbrojnej"

W n-rze 35 „Tyg. Illustr." pisaliśmy na tem miejscu o „teorji kwantów" w tem znaczeniu, jakie jej nadał Ferd. Goetel, przenosząc pojęcie kwantów z fizyki do obszernej dziedziny życia politycznego i społecznego. Podaliśmy wówczas kilka przykładów działania tego rodzaju „kwantów". Wśród przykładów znalazł się jeden, który musimy tu częściowo powtórzyć, ponieważ inaczej trudnoby czytelnikowi zrozumieć, dlaczego nasza notatka wywołała pewne nieporozumienia. Chodzi o komentarz *Polski Zbrojnej* do ostatnich zmian personalnych w Polskiem Radjo. Komentarz ten, wyrażający niezadowolenie redakcji z zarządzeń ministra P. i T. kończył się słowami. „Przypuszczamy, że czynniki miarodajne zajmą się tą sprawą". Nasz zaś komentarz do tamtego komentarza brzmiał następująco:

„Stanowiska dyrektorów w Radju, przyjmowanie i nieprzyjmowanie dymisyj zależą od najwyższej władzy tej instytucji, t. j. ministra P. i T. Jakie miałyby być inne czynniki miarodajne w tej dziedzinie, nie wiemy i sądzimy, że ich niema. Czyli że jego decyzja znalazła się tu na indeksie — inaczej niepodobna tego zrozumie. *Naturalnie, prasa korzysta i powinna korzystać z zupełnej swobody wypowiadania swoich poglądów; ma do tego prawo także w danym wypadku.* Mimo to wydaje nam się, że nagle doznał małego wstrząsu pewien kosmos, robiący dotychczas wrażenie czegoś jednolitego i trwałego.

Ten kosmos to dotychczasowy system sprawowania władzy przez ludzi obozu pomajowego, władzy nietylko na najwyższych stanowiskach, lecz i na niższych szczeblach hierarchji. Ludzie obejmowali wyznaczane im posterunki i odchodzili z nich na inne, czy nawet na żadne. Ich działalność podlegała ocenie dodatniej lub ujemnej, ich zasługi znajdowały uznanie lub były przemilczane. Ale tylko opozycja i jej prasa dyskutowała publicznie, w sensie negatywnym, na temat decyzyj ministrów w sprawach personalnych, prasa rządowa przyjmowała je jako fakty, z któremi się należało liczyć. *Czy to było dobre, czy nie — tej kwestji niema potrzeby teraz poruszać,* ale jakiekolwiek było, było dobre pod jednym względem: największy opozycjonista musiał przyznać, że ten kosmos rządzenia jest jednolity, karny i zdecydowany. Boli, nie boli — ministrowie pełnią władzę, oparci o wyraźną jedność, o ten przynajmniej kompromis wewnątrz obozu, który nie dopuści do kwestjonowania ich autorytetu. „Przypuszczamy..." „Polski Zbrojnej" ujawniło, że pokazały się kwanty..."

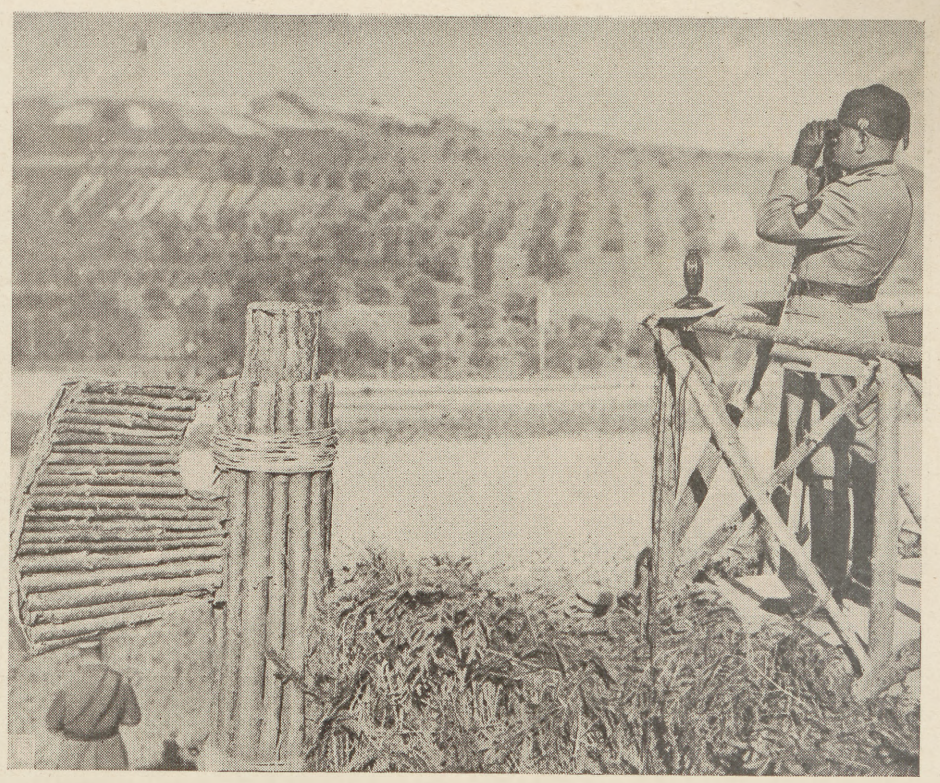
Nieuprzedzony czytelnik zauważył z pewnością, że to co napisaliśmy, jest zanotowaniem pewnego zjawiska, spokojnem oświetleniem go, bez żadnej chęci wszczynania polemiki. Aliści „Polska Zbrojna" dopatrzyła się w naszej notatce motywów dyskusyjnych i wszczęła dyskusję. Dyskusję w cudzysłowie, bo niepodobna inaczej nazwać brutalnego i niewybrednego co do terminologji wypadu tego dziennika. Nic to oczywiście nie szkodzi, wielki krzyk i brzydkie słowa świadczą zazwyczaj przeciw krzyczącemu, nie będziemy też starać się przekrzyczeć „Polski Zbrojnej". Streścimy tylko łagodnie w jednem zdaniu „odpowiedź" gazety: To co napisał „Tygodnik" oznacza gorliwość, chęć wkupienia się w łaski czynników rządowych, jest odwoływaniem do prawomyślności, gdy tymczasem „Polskę Zbrojną" „stać na to, by wyraziła zdziwienie nawet na temat tych czy innych posunięć personalnych".

Podkreśliliśmy wyżej zdanie, w którem zastrzegaliśmy dla prasy prawo „zupełnej swobody wypowiadania swoich poglądów", więc „Polska Zbrojna" wyważa tylko otwarte drzwi. Ale nie to powinna była zrobić. Powinna była napisać: „Stać nas na publiczne zakwestjonowanie decyzji urzędującego ministra". Tylko bowiem o to chodzi, w tym punkcie dostrzegliśmy rysę w jednolitości systemu panującego w Polsce, ani zresztą spowodu tej rysy nie załamując rąk, ani nie przysięgając czy bez takiej i jej podobnych rys, system byłby silniejszy, — o czem znów świadczy inne podkreślone w naszym tekście zdanie. A że zdziwiliśmy się, że nas to uderzyło, to co? Zdziwić się nie wolno, że „kwanty" pokazały sią w „Polsce Zbrojnej"? No, bo się pokazały.



Dlaczego Etjopja?

Gospodarcza konieczność Italji



Il Duce obserwuje przebieg manewrów wojskowych

Spod steku pięknobrzmiących frazesów, jakie z wielu stron zdołano już rzucić w związku z przygotowywaną aneksją Etjopji, „nafta sikła" — mówiąc lapidarnym językiem Tuwima — wyjątkowo rychło.

Ujawnienie konszachtów koncesyjnych angielsko-amerykańskich w sprawie etjopskiej skierowało znów uwagę opinji na jedynie właściwy tor analizy gospodarczych przyczyn, zmuszających Włochy do ryzykownych posunięć wojennych.

Czy Włochy muszą wojować?

Otóż przyczyn, stwarzających trudności gospodarcze we Włoszech jest aż nadto, lecz nawet najpowierzchowniejsze ich przejrzenie doprowadzić musi do wniosku, że nietylko Italja, ale większość państw obu kontynentów znaduje się dziś w sytuacji i pod działaniem czynników kubek w kubek podobnych do istniejących w państwie Il Duce.

Jeszcze w maju ubiegłego roku Mussolini oświadczył w jednej z licznych swych publicznych oracyj, że

„równowaga budżetowa musi być osiągnięta za wszelką cenę. Ani jedno państwo, ani jedna rodzina istnieć nie może, robiąc tylko długi. Następuje moment, gdy woda podchodzi pod gardło i wówczas — skoro swego czasu nie przedsięwzięto odpowiednich środków — trzeba jąć się odrazu metod drakońskich" [1]).

Rozstrzygano wówczas we Włoszech dylemat: — inflacja czy deflacja? Wybrano deflację.

Inflacja była naogół w Italji mało popularna. Pamiętano czasy bezpośrednio powojenne, kiedy to gwałtowny spadek lira przyniósł dosłowną klęskę i rolnictwu i drobnomieszczaństwu. Drobni i średni rentjerzy włoscy drżeli przed widmem utraty swych oszczędności. Był i inny jeszcze decydujący bodaj motyw. — Rząd włoski zdążył w międzyczasie pożyczyć z krajowych kas oszczędności (t. zw. *casa depositi e prestiti)* zawrotną kwotę około 9 miljardów lirów. Komplikacje, jakie mogłyby nastąpić przy zwracaniu bezpośrednio przez państwo tych ewentualnie zdeprecjonowanych już sum miljonom obywateli, zdawały się zbyt poważne...

Wybrano zatem deflację. Rzucono hasło: „Oszczędzać owszem, ale nie nowe podatki".

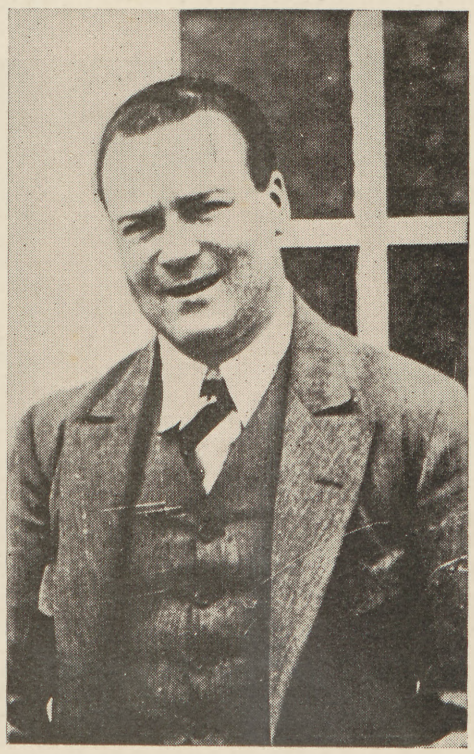
Przyszły jednak i nowe podatki. Między innemi ustanowiono wówczas właśnie głośny podatek na kawalerów. Dalej dokonano konwersji astronomicznej 61,4 miljardów lirów sięgającej kwoty długów wewnętrznych, zamieniając obligacje 5-procentowe na 3,5-procentowe. Wreszcie przystąpiono do redukcyj pensyj pracowniczych, obniżając je w granicach od 6 do 20%. Rekompensatę redukcji miały stanowić: obniżka cen żywności i obniżka komornego.

Przeszło rok dzieli nas już od zarządzeń deflacyjnych włoskich. Czy Włochy wyszły obronną ręką z opresji gospodarczej, w jakiej się znalazły w przededniu wydania tych zarządzeń?

Otóż dziś, tak jak i przed rokiem, sytuacji ekonomicznej Italji pomyślną nazwać nie można. Wprawdzie dno kryzysu Włochy osiągnęły już latem 1932 roku, poczem następuje pewna poprawa, ale sytuację gospodarczą Włoch cechują w dalszym ciągu stałe wahania, ogromna niestałość, konjunktury, co zdaje się dowodzić niezbicie braku faktycznych podstaw rozwojowych.

Tak więc np. ogólny indeks przemysłowy w porównaniu z rokiem 1932 podniósł się w roku ub. o 20% [2]). Lecz weźmy którąkolwiek ze składowych gałęzi tego przemysłu, np. przemysł włókienniczy... To jeden z najpoważniejszych przemysłów Italji, za trudnia około $^1/_3$ wszystkich robotników tego kraju. W porównaniu z rokiem pewnej poprawy 1933, indeks spada znów o 3,6%, zaś w najważniejszych rodzajach tego przemysłu: w tkalniach bawełny i jedwabnictwie z 76 i 75 w r. 1933 na 72 i 70 w r. 1934. Nic dziwnego, przemysły te nastawione były przedewszystkiem na eksport. Jeszcze w r. 1929 Włochy eksportowały 40% swych wyrobów bawełnianych i przeszło połowę jedwabnych; dziś, skoro wskaźnik w r. 1929 oznaczyć przez 100, okazuje się, że w końcu r. 1933 wynosił on dla bawełny 51,0 a dla jedwabiu 58,2 natomiast w końcu r. 1934 już tylko 42,7 i 33,8... Lepiej prosperuje t. zw. ciężki przemysł: metalowy i chemiczny. Lecz tu zaznacza się jaskrawo przemożny wpływ opieki rządowej. Interwencja, nakręcanie konjunktury. Przemysły te zabezpieczono przed światem niebotycznym murem celnym, obstalunki rządowe, długoterminowe kredyty dokonały reszty.

Mr. Rickett, twórca koncernu naftowego, który zawarł umowę z Etjopją



To cokolwiek sztuczne więc ożywienie w przemyśle, na rynku pracy odbiło się w stopniu jeszcze mniejszym. Indeks zatrudnienia w porównaniu z r. 1929 przyjęty za 100, pod koniec r. 1934 kształtował się w całym przemyśle na poziomie 83, w przemyśle automobilowym na 78, w warsztatach kolejowych na 58 a w stoczniach okrętowych na 57. Skoro uwzględnimy, że wyniki te osiągnięto kosztem takich ofiar, jak zatrudnianie robotników tylko przez 25 — 30 lat, zwolnienie wszystkich młodocianych do lat 21, ograniczenie czasu pracy do 40 godz. tygodniowo bez podniesienia zarobków godzinnych; skoro uwzględnimy jednocześnie, że liczba bezrobotnych rejestrowanych oscyluje stale około cyfry 1 miljona, przy 200 — 320 tysiącach bezro-

[1]) „Il Sole" z dn. 27.V.1934 r.

[2]) Wszystkie cytowane liczby czerpiemy z wydawnictw: „Bolletino mensile di statistica", „Bolletino di notizi economiche" oraz „Compendio Statistico Italiano'.



Zebranie patrjotyczne w Addis Abebie



Wojsko indyjskie udaje się na granicę Etjopji

botnych zatrudnianych sezonowo na robotach publicznych, stwierdzić wypadnie, że na odcinku rynku pracy jest jeszcze gorzej niż w dziedzinie produkcji.

Niepomyślnie również przedstawia się sytuacja rolnictwa. Licytacje ziemi stały się chlebem powszednim, jednak o nabywców jest bardzo trudno i ziemia znajduje się w rękach kredytujących rolnictwo banków. Zadłużenie rolnictwa włoskiego obliczane jest na 8 miljardów lirów. Opłaty podatkowe rolnictwa wzrosły w porównaniu z latami przedwojennemi 6-krotnie, podczas gdy ziemiopłodów spadły. Nożyce cen artykułów rolnych i przemysłowych (zwłaszcza maszyn rolniczych) rozwierają się ciągle.

Katastrofę pogłębia fakt, że na 13 mniejwięcej miljonów ludności rolniczej we Włoszech 2,5 miljona stanowią najemni robotnicy rolni zaś 1,6 milj., to drobni dzierżawcy i chałupnicy bez własnych gruntów.

Nakręcanie konjunktury i bezpośrednia pomoc państwa pewnym gałęziom przemysłu, zwłaszcza w wyjątkowo kosztownej postaci wykupywania przez państwo objektów, w których poszczególne przedsiębiorstwa i banki „zamroziły" swe kapitały, musiało się odbić w sposób fatalny na budżecie państwowym. Deficyt budżetowy Włoch rośnie wciąż katastrofalnie. Oto kwoty, ilustrujące nadwyżkę wydatków nad dochodami państwa:

1931/32	— 910 milj. lirów
1932/33	— 3.702 milj. lirów
1933/34	— 2.964 milj. lirów
1934/35 (5 mies.)	— 1.970 milj. lirów

Deficyt budżetowy Italji pokrywany jest przedewszystkiem drogą pożyczek wewnętrznych. Suma długoterminowego zadłużenia wewnętrznego Italji wzrosła z 84,6 miljardów lirów w r. 1929 na 93,9 miljardów w marcu 1935 r., zaś zadłużenie bieżące osiągnęło już ogromną kwotę 11,2 miljardów lirów.

Deficyt budżetowy, ujemne saldo bilansu handlowego najbardziej niepokoją, jak widzieliśmy, kierownicze czynniki Italji. Te względy kazały przed rokiem wejść Włochom na drogę oszczędności, deflacji. Wchodzi się w ten sposób jednak w pewnego rodzaju błędne koło. Przemysł włoski, jak widać, nastawiony jest w dużej mierze na eksport. On też odczuwa najbo-



Akty włoskie w sprawie etjopskiej przyjechały do Genewy

Komitet „Pro Ethiopia" pracuje w Nowym Jorku



leśniej ograniczenia deflacyjne. Zaostrza się, bo konkurencja na rynkach zagranicznych z krajami o obniżonej wartości pieniądza. Chcąc utrzymać rynki zagraniczne trzeba obniżać ceny własnych artykułów wywozowych. Obniżając zaś ceny, trzeba straty pokrywać zwiększonym eksportem, zwiększoną produkcją wogóle. Zwiększenie produkcji, wymaga zwiększenia przywozu. Przemysł włoski jest bowiem wybitnie dziś uzależniony od zagranicy. Musi sprowadzać i surowiec i paliwo: bawełnę, węgiel, naftę. Ożywienie przemysłu włoskiego, zwiększa mimowoli import obcych towarów. Oto rezultat restrykcyj oszczędnościowych na odcinku wymiany towarowej Włoch. Jak kształtowało się saldo bilansu handlowego Włoch w latach ostatnich? (podajemy w miljardach lirów):

Rok	*Wwóz*	*Wywóz*	*Saldo*
1929	21,7	15,2	6,4
1930	17,3	12,1	5,2
1931	11,6	10,2	1,4
1932	8,3	6,8	1,4
1933	7,4	6,0	1,4
1934	7,7	5,2	2,4

Saldo in minus rosło głównie pod wpływem spadku cen artykułów wywozowych. Eksporterzy włoscy musieli iść po linji maksymalnego obniżania cen swych artykułów, a tymczasem ceny towarów kupowanych ujawniły dużą sztywność. Wskaźnik cen obu grup określały w r. 1934 odpowiednio liczby 58,9 i 49,5.

Czem pokryć groźny deficyt? Handel rekompensacyjny z zagranicą, dochody z turystyki, przesyłki emigrantów, dochody floty handlowej, wszystko to okazuje się niewystarczające. Pozostaje złoto w bankach włoskich. Otóż złoto to z Włoch gwałtownie ucieka. Sprawozdanie Banca d'Italia stwierdza, że zapas złota wynoszący jeszcze w 1933 roku 7,1 miljardów lirów spadł w marcu 1935 r. do 5,8 miljardów, zapas dewiz zmniejszył się z 305 na 59 miljonów, zaś pokrycie banknotów spadło z 55,9 na 44,2%.

Groźne widmo załamania się kursu lira jest więc nadal aktualne, mimo bolesnych cięć polityki deflacyjnej. Woda wciąż podchodzi Włochom pod gardło.

Pozostaje Etjopja...

J. T. Mieszkowski

RATUJMY „BIBLJOTEKĘ BOYA"!

W roku ubiegłym minęło lat 25 od daty wydania pierwszego przekładu Boya-Żeleńskiego. Była to *Fizjologja małżeństwa* Balzaka. W krótkiem słowie wstępnem pisał wówczas tłumacz: „Tak samo jak wielkie dzieło życia Balzaka, *Komedja ludzka*, stało się kamieniem węgielnym rozwoju nowoczesnej literatury francuskiej, a poniekąd i europejskiej, w której powieść obyczajowa tak przemożne zdobyła sobie miejsce, tak samo w *Fizjologji małżeństwa* znajdziemy już w zaczątku wszystkie pierwiastki, z których miał się rozwinąć późniejszy psychologiczny romans francuski: zatem całą filozofję „trójkąta małżeńskiego", całą legendę „niezrozumianej kobiety", sylwetę „kobiety trzydziestoletniej", owej klasycznej bohaterki francuskiego romansu w czasie jego rozkwitu. Książka ta, tak ciekawa z punktu widzenia historji literatury, i jako lektura nie straciła swego dawnego uroku. Będąc zbiorem aforyzmów, spostrzeżeń i anegdot, powiązanych z przedziwnym kunsztem zapomocą nawpół śmiejącej się, nawpół nielitościwie głębokiej i przenikliwej filozofji życiowej, dzieło to nie zostało zupełnie naruszone zębem czasu, który okazał się nieraz tak nieubłaganym względem najświetniejszych nawet utworów powieściowych minionych epok..."

W roku 1909, gdy po raz pierwszy drukowano przytoczone słowa, autor ich nie przewidywał, że tą pracą swoją rozpoczął olbrzymie dzieło, które on sam, z własnego zamysłu i bez jakiejkolwiek pomocy, ofiarnym kosztem zdolności, trudu i wreszcie materjalnych strat, doprowadzi do niebywałych rozmiarów. Że nadto w to dzieło swe włoży największe wysiłki jednego z najświetniejszych pisarzy współczesnej literatury polskiej. Atoli zdawał sobie już sprawę, co go do tego zadania pociąga. Bo w słowach powyższych, w lapidarnym skrócie wyraził idee przewodnie literatury francuskiej w ciągu wieków, te same idee, którym później, zbierając do osobnego wydania przedmowy swych przekładów, nada tytuł: „mózg i płeć". Nie będzie to zaś przypadek, że do rzędu arcydzieł literackich tłumacz ich włączy także filozoficzną „Rozprawę o metodzie" Kartezjusza, czyj zwrot dziś przysłowiowy: „myślę, więc jestem", — może być przyjęty za motto naczelne literatury, w której badania życia ludzkiego w jego najistotniejszych zjawiskach łączą się najściślej z dążeniem do jasności myśli i przejrzystości wyrazu. Jest to bowiem dominującą cechą literatury francuskiej, że niema w niej artyzmu formy, któryby nie zawierał pełnej ludzkiej treści, pogłębionej nieuprzedzoną, do dna zagadnień docierającą myślą kulturalną. I właśnie dzięki doskonałemu zestrojeniu formy z treścią, literatura francuska we wszystkich dziedzinach twórczości artystycznej wydała dzieła o znaczeniu nietyle przełomowem, ile wodącem do najwyższego rozkwitu i do tak wielu osiągnięć i nieprzemijającej wartości. Jeśli zaś życiodajnem źródłem europejskiej kultury humanistycznej jest twórczość starożytnych Greków i Rzymian, to we Francji tę kulturę naszą nietylko doprowadzono do najwszechstronniejszego rozwoju, ale również



Tadeusz Boy-Żeleński

utrzymano ją na tym najlepszym poziomie, na którym tradycyjne formy klasyczne nie kostnieją, gdyż wciąż są odświeżane tchnieniem żywego człowieka i ludzkiej prawdy.

Już w trzy lata po *Fizjologji małżeństwa* Balzaka, w roku 1912 wydał Boy nowy przekład polski wszystkich dzieł Moljera w sześciu tomach. Jak to było doniosłą potrzebą naszej literatury i jak się tłumacz z tego wyjątkowo trudnego zadania znakomicie wywiązał, zbyteczne dziś wyjaśniać. Że zaś Boy z prawdziwą pasją twórczą jął się odrazu rzeczy najcięższych, wymagających największych wysiłków w poszukiwaniu właściwego słownictwa, dowodem przekład *Gargantui i Pantagruela* Rabelais'go, wydany w roku 1915. Po takich preliminarjach, któreby same wystarczyły na zapewnienie poważnej i trwałej chwały tłumacza, około roku 1917 podjął Tadeusz Żeleński olbrzymie dzieło, powszechnie dziś znane pod nazwą *Bibljoteki Boya*, liczącej obecnie 110 tomów arcydzieł literatury francuskiej w przekładzie polskim, którego celność tem bardziej zdumiewa, gdy się zważy niebywałą rozpiętość skali języka i stylu, zawsze najlepiej dostosowanych do odrębnych właściwości tekstów oryginalnych, a zarazem odznaczających się najlepszemi zaletami doborowej polszczyzny.

Zgromadzony w *Bibljotece Boya* dobór dzieł i pisarzy, poza swemi wyjątkowemi wartościami artystyczno-kulturalnemi i historyczno-literackiemi, zawiera całe bogactwo życia i myśli ludzkiej. W pismach Montaigne'a, La Rochefoucauld'a, Chamfort'a i in. są to wręcz rozmyślania, przypowieści lub anegdoty z praktycznej filozofji życia. Pascal odkrywa całe głębie myśli religijnej. W komedjach Moljera lub w tragedji Racine'a przenikamy do dna charaktery ludzkich namiętności. Żywioł osobistego liryzmu barwi się krwistemi rumieńcami w wierszach Villona i Verlaine'a. Podwójne oblicze Musseta poznajemy ze *Spowiedzi dziecięcia wieku* i z komedyj, w których artyzmie czytelnik polski odnajduje tyle pokrewieństw z wielkiemi komedjami Fredry, z *Fantazym* Słowackiego i z *Pierścieniem wielkiej damy* Norwida. W 36 tomach *Komedji Ludzkiej* Balzaka, którego naprawdę dopiero Boy wprowadził do świadomości polskiego ogółu kulturalnego, i w 10 tomach Stendhala, tych dwóch wielkich mistrzów powieści francuskiej i europejskiej, w ramach wysoce zaciekawiającej fabuły z niesłabnącem napięciem uwagi śledzimy cały splot ludzkich charakterów, stosunków i obyczajów. Trudno zresztą wyliczać wszystkie nazwiska przełożonych przez Boya pisarzy, z których każdy stanowi datę w dziejach literatury i z których każdego czyta się dotąd z takiem zainteresowaniem, jakby to byli autorzy nawskroś współcześni. Tak ci pisarze sprzed wieku czy nawet sprzed kilku stuleci, poza charakterystycznemi objawami swych epok, w czysto ludzkich uczuciach, wzruszeniach i myślach nic się nie zestarzeli.

Bibljoteka Boya czasu wojny była wydawana na lichym papierze, bo o inny było trudno, i w rozmaitych formatach. Wiele jej tomów pojawiało się w kilku wydaniach, a będzie tu jeszcze mowa, że wydania te różniły się między sobą także tekstem, gdyż Boy swe przekłady ciągle wydoskonala. W roku 1929 dobiegała już stu tomów, gdy Boy podjął nowe zadanie, aby to dzieło swoje w poprawionych wydaniach i pomnożone nowemi przekładami oddać czytelnikowi w jednolitej serji księgarskiej, o ustalonym wyglądzie typograficznym i bardzo ładnej a trwałej okładce płóciennej. Nie znalazłszy dla tego zamierzenia odpowiedniego wydawcy, stał się nim sam, licząc na to, że zdobędzie tylu prenumeratorów, aby chociaż pokryć koszty nakładu. Nadzieje te okazały się jednak płonne, zwłaszcza w ostatnich latach do wydania każdego tomu musiał tłumacz coraz więcej dokładać. Mimo to, w ciągu lat pięciu wydał Boy 80 tomów swej Bibljoteki, czyli dwie trzecie całości. Niedość, że stworzył dzieło w swej treści monumentalne a w swoim rodzaju, jako trud jednostki, dosłownie wyjątkowe, ale nadto swe siły twórcze zmuszony był rozpraszać na kłopoty administracyjno-wydawnicze i dotkliwe troski materjalne. Ile zaś ciągłego wysiłku wkładał Boy w nowe wydania przekładów dawniejszych, najlepiej pokaże przykład, wyjęty z ostatniego tomu 80-tego, który się ukazał przed kilku tygodniami. Jest to *Kawalerskie gospodarstwo* Balzaka.

W pierwszem wydaniu z roku 1918 początek przekładu był taki:

„W r. 1792, miasteczko Issoudun cieszyło się posiadaniem lekarza nazwiskiem Rouget, który uchodził za człowieka o niedobrym charakterze. Wedle głosów niektórych śmielszych obserwatorów, żona doktora nie była szczęśliwa w pożyciu, mimo że była to najpiękniejsza kobieta w mieście. Być może, była nieco ograniczona. Mimo śledztwa przyjaciół, plotek ludzi obojętnych i obmowy zazdrosnych, wewnętrzne dzieje tego małżeństwa pozostały tajemnicą. Doktór Rouget był jednym z ludzi, o których mówi się potocznie: lepiej im

nie wchodzić w drogę. Toteż, dopóki żył, zachowywano dyskretne milczenie i wszelkie względy uprzejmości...“

W obecnem wydaniu czytamy:

„W r. 1792 miasteczko Issoudun posiadało lekarza nazwiskiem Rouget, który uchodził za człowieka o niedobrym charakterze. Wedle śmielszych obserwatorów, żona doktora nie była szczęśliwa w pożyciu, mimo że była to najpiękniejsza kobieta w mieście. Może była cokolwiek ograniczona. Mimo śledztwa przyjaciół, plotek ludzi obojętnych i obmowy zazdrosnych, sekretne dzieje tego małżeństwa pozostały tajemnicą. Doktór Rouget był jednym z ludzi, o których się mówi, że lepiej im nie wchodzić w drogę. Toteż póki żył, zachowywano dyskretne milczenie i uprzejme względy...“

Wystarczy porównać oba przytoczone teksty, aby się naocznie przekonać, jak niemal każde zdanie uległo drobnym poprawkom i retuszom. Taż sama sumienność tłumacza wystąpiła obecnie u Boya, jako wydawcy. Nie mogąc zapewnić terminu, w którym ukażą się następne tomy Bibljoteki, lojalnie zawiadomił prenumeratorów, aby się wstrzymali z wpłatą należności za serję następną.

Ale chyba nie pozwoli się na to, aby dziełu tak wielkiemu, które sam jego twórca tak daleko już doprowadził, zabrakło dokończenia. Zapobiec katastrofie kulturalnej, za jaką należałoby uznać zawieszenie Bibljoteki Boya [1]), jest obowiązkiem wręcz publicznym, społecznym. Skoro zaś w obecnych warunkach trudno liczyć na potrzebną w tym celu ilość prenumeratorów, należy oczekiwać interwencji i pomocy czynników miarodajnych. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz Fundusz Kultury Narodowej przy Prezydjum Rady Ministrów nie powinny dopuścić, aby zabrakło środków dla wydawnictwa, które jest naszą chlubą wobec całej kulturalnej Europy. Niezależnie zaś od tego, napływ nowych prenumeratorów jakoteż zgłoszenia płatników opieszałych winny dać świadectwo, że i w społeczeństwie istnieje zrozumienie i należyte uznanie dla wielkiego wysiłku tak naprawdę twórczej jednostki, o której słusznie powiedziano, że sama jedna wypełnia to, co gdzieindziej czynią całe Akademje.

Kazimierz Czachowski

[1]) Podajemy adres wydawnictwa, które wysyła na żądanie prospekty: *Bibljoteka Boya, Warszawa, Smolna 11.*

Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu i t. p. stosują pp. lekarze *„Balsam Trikolan Age“* (dawniejsza nazwa „Balsam Thiocolan Age“), który ułatwiając wydzielanie się plwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego.

Sprzedają apteki.

Droga znosi przeszkód szańce,
Droga łączy światów krańce.

ŻAŁOBA BELGJI



Król Leopold III w orszaku żałobnym

Po wyjściu z pałacu królewskiego, orszak żałobny na ulicach miasta w drodze do Laeken



ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA 35)

KRZYŻOWCY

Słuszna uwaga. Nielicznych nieszczęśników pozostałych przy życiu piraci i Tankredowi przestają mordować, owszem, odrąbują od ław, na których ich chude ciała wytarły wgłębienia i wyciągają na pokład. Noc już pobielała świtem. Wioślarze dygocą ze strachu. Tankred przemawia do nich. Nic nie rozumieją. Żegna się znakiem krzyża. Trzech pada na kolana ze szlochem, powtarzając święty znak. Wyciągają ku niemu z uniesieniem ręce.

— Tych trzech ostawić, nakarmić — mówi Tankred — a z resztą róbcie co chcecie.

Nie długa sprawa. Każdego pałką po głowie i do jeziora, rybom na pożytek.

Ze swej galery Guynemer gromko wydaje rozkazy. Rozwinąć żagle! Wiatr się podnosi, zaniesie wprost do obozu. Pogańskie galery holować. Podział zdobyczy na stąpi na brzegu.

— — — — — — — — — —

— Co książę pragnie zatrzymać dla siebie? — zapytał Tankreda Guynemer, gdy w jakiś czas potem wylądowali o milę niespełna od obozów. Na brzegu wznosił się już spory stos zdobytej broni, odzieży, sprzętów i różnych cenności.

— Wasz łup — odparł Tankred wzruszając ramionami. — Nic mi do niego. — Co to za niewiasta?

— Dzierlatka, co tak wrzeszczała na początku bitwy. Pono niewiasta samego sułtana, a to jego szczenię...

— Niewiasta Kidżil Arslana?! — wykrzyknął Tankred ze zdumieniem.

— Tak powiadają. Na sułtańskiej galerze jechała... Pytałem wioślarzy, tych trzech... Trudno się z niemi dogadać, ale powtarzają: Kidżil Arslan...

— Sułtanka nie jechałaby bez dworu...

— Był jeden rzezaniec, któregom ubił i cztery dziewki, o których nie wiedziano, i woda je zalała w kajucie.

— Sułtanka... — powtórzył Tankred z ciekawością.

Guynemer dał znak, by dwóch piratów podprowadziło nie stawiającą oporu kobietę. Lico miała szczelnie przesłonięte zasłoną. Zwoje kosztownego muślinu dzierganego złotem spowijały ją aż do stóp obutych w złote ciżemki. Czteroletni malec nadzwyczaj piękny, trzymał się kurczowo jej szat, błyskając ku obcym wielkiemi czarnemi oczami, nieufnie i wrogo jak młody wilczek.

Zatrzymali się przed Tankredem. Jeden z piratów zdarł z głowy branki zasłonę. Krzyknęła, zakrywając twarz dłońmi. Oderwali je i przytrzymali, gotując się zewlec szaty.

Tankred powstrzymał żywo.

— Ostawcie. Nie trzeba.

Z ciekawością spojrzał w śliczne odsłonione lico i mimowoli zapłonił się sam jak kobieta. Na krew św. Januarego! Jakże nieprawdopodobnie piękna była ta poganka! Aksamitno łzawe źrenice gazeli, cera z płatków róży i śniegu. Maleńkie usta wymalowane w kształt serduszka. Nie w tem jednak zamykała się jej czarodziejska uroda. Patrzącemu rywalowi wydała się być samą esencją kobiecości, ucieleśnioną płcią. Była bezwolna, bezgrzeszna, nieodpowiedzialna. Nie zgrzebna, krzepka, latyńska towarzyszka życia, nie wykształcona, ćwiczona Greczynka, mieszająca się we wszystkie sprawy męskie, lecz k o b i e t a. Niewolnica. Jedynem wrażeniem jakie przychodziło myśli na jej widok był obraz uciechy cielesnej. Była doskonałem narzędziem miłości, przedniem naczyniem rozkoszy. Udzielanie rozkoszy stanowiło jedyną jej umiejętność, jedyny obowiązek. Być słodką w miłosnem objęciu mężczyzny, powolną każdemu jego żądaniu...

Było to tak oczywiste, jawne, że choć osłonięta szczelnie, zdawała się obnosić swoją płeć nazewnątrz, widoczną każdemu. I surowy dla siebie Tankred, rycerz bez skazy, twardy jak brylant, mężny jak lew, piękny jak młody bóg, patrzył w nią niby urzeczony. Nie umiał zdać sobie sprawy z tego co czuje, pojął jednak, iż nie dopuści, by piraci zabawili się po swojemu z tem pachnącem niewieściem cudem.

Wstrząsnął się i obrócił do Guynemera.

— Skoro to żona sułtana — rzekł żywo — nie można jej tknąć bez narady wodzów. Do czasu pozostanie pod strażą moich ludzi, w moim obozie.

Guynemer wyszczerzył szyderczo swą djabelską gębę.

— Ha, w takim razie należałby się nam okup... Ale co tu mają do gadania panowie baronowie? Książę jest młody... rozumiem...

Tankred poczerwieniał ze złości.

— Mój wiek nie ma nic do rzeczy! Okup dostaniecie. Kobiety nikt nie ruszy dopóki Rada nie postanowi, co z nią robić...

— To pięknie... A kto nam poręczy okup?

— Ja! — wrzasnął Tankred. — Słowo rycerza to dla was mała rękojmia? Co?!

— Och, dostateczna, dostateczna... skoro książę sam... — zapewniał pirat, mrużąc, to prawe, to lewe oko. Był widocznie rozweselony.

Nie zwracając na niego uwagi, Tankred kazał odprowadzić Dżuriszę z dzieckiem do swego obozu, dać jeść obojgu i strzec jak oka w głowie — sam siadł na konia i pognał co duchu do stryja, zdać mu sprawę z przebiegu pomyślnej bitwy i zdobycia czterech galer.

...Jedna była sułtańska, cała w złocie i ozdobie — zakończył — jechała na niej kobieta z dzieckiem, pono Kidżil Arslana niewiasta... Jest ninie w moim obozie pod strażą...

— Gładka?

—Zdaje się... tak... — Tankred poczerwieniał.

— Zabrałem ją od piratów — podjął, zły na siebie — bo Kidżil Arslan, choć poganin, jest uczciwym wrogiem. Mężnie stawał. To jego żona i syn. Nie widzi mi się przystojnem, by ich na poniewierkę lub śmierć wydawać... Odesłać mu i koniec.

— Słusznie prawisz — przyznał Boemund — ale nasi tego nie zrozumieją. Dla nich to będzie poganka i nic więcej.

— Więc co zrobić?! — krzyknął porywczo Tankred.

— Wpadła ci w oko, to ją sobie weź...

— Nie! Ja nie dlatego, tylko, że mi się to nie widzi uczciwe...

— Skoro tak, odeślij ją Butumitosowi. Napewno będzie rad. Przechowa ją jako zakładniczkę. Ale to daleko. Nie będziesz jej mógł widywać...

— Nie chcę jej widzieć na oczy! — zakrzyknął Tankred, już wściekły. Okrzyk brzmiał szczerze. Boemund przyjrzał się bratańcowi uważnie. Co za dziwny chłopak!

— W takim razie odeślij Grekom —

W Moskwie zmarł wybitny pisarz francuski, Henryk Barbusse, autor „Ognia". Ciało zmarłego pisarza sprowadzone zostało do Paryża



powtórzył — Butumitos zapłaci chętnie okup piratom.

— Odeślę ją jutro o świcie.

— Radzęć, sam odwieź.

Tankred spojrzał podejrzliwie na stryja i zaczerwienił się znowu.

— Wystarczy pismo — mruknął hardo i wyszedł.

Wrócił do swego obozu późnym już wieczorem. Przeszedł koło namiotu branki sprawdzić straże, czy nie śpią? Spały, oczywiście! Obudzić je, czy nie? Narazie nie obudził. Podszedł tuż do namiotu, ujął zasłonę. Stał wahający, niepewny. Nagłym ruchem opuścił rękę, zawrócił się i odszedł do swojej kwatery.

— — — — — — — — — —

Zgodnie z przewidywaniem Boemunda, Butumitos przyjął Dżuriszę z należnemi honorami. Piratom wypłacił sowity okup. Żona i syn sułtana byli dlań nabytkiem cennym. Jeśli krzyżowcom noga się powinie, można będzie zawsze z Kidżil Arslanem wejść w układy i obietnicą wydania rodziny uchronić się przed jego zemstą. Po raz pierwszy postępek latyńców wydał mu się rozumny i przenikliwy.

Natomiast obecność piratów na jeziorze powlokła chmurą twarz wodza. Nieoczekiwane utrudnienie! Jak mogli nasi do tego dopuścić! Należy się spodziewać, że Wielki Drongarios Floty ukarze odpowiednio winnych zaniedbania. Trzeba oo rychlej porozumieć się z Mudżahidem... Gołębi stamtąd nie mamy?

— Nie mamy, Wasza Dostojność — odparł dowódca wigilów.

— Znakami świetlnemi dajcie znać twierdzy, by tu posłańca przysłali...

— Nie będzie to łatwem teraz, gdy jezioro zamknięte...

— Na św. Teodora Stratilosa! Mudżahid nie znalazłby sposobu wywieść w pole tych ciemnych byków, niezdolnych zobaczyć dalej jak koniec swojego nosa!? Spuści z murów którego ze swoich, jako Ormianina-zbiega...

— Nie wiem, zali tam są mówiący po grecku?...

— Sądzisz, Arystosie, że Latyńcy poznają, czy to język grecki, czy arabski? Niema obawy. Byle gadał niezrozumiale i miał krzyż na piersi... A jak Pantopulos z wieżami?

— Czeka z ich ukończeniem na rozkaz Waszej Dostojności.

— Niech czeka, aż się porozumiem z Mudżahidem... Możesz odejść, Arystosie.

— — — — — — — — — —

Upał jest coraz sroższy i trudniejszy do zniesienia. Woda cuchnie. Powietrze cuchnie. Twierdza stoi jak stała. Zakuta w swój podwójny łańcuch murów, zaledwie nadwyrężonych, bronna w trzysta wież, urąga oblegającym. Toteż zawziętość bojowa Latyńców zmienia się w straszną nienawiść. Dopaść tych wrogów oklętych, odpłacić nareszcie za dwumiesięczne bezsilne sterczenie pod niezłomnemi murami, za zdradzieckie naprawki nocne, za dowożenie tajemne żywności, za zrzucanie wężów na głowy, za upał, za wszystkie trudy. Och, odpłacić! Zdusić, zgnieść! Ta chwila obecnie nadchodzi — nareszcie! Lada dzień ruszą do szturmu, wielkiego szturmu, wspartego oblężniczemi wieżami. Już we wszystkich obozach wre ruch, jak w podrażnionem mrowisku. Oddziały przepychają się, walcząc pomiędzy sobą, byle zdobyć stanowisko bliższe murów i jedne z pierwszych wziąć udział w natarciu. Każdy pragnie być tym, co skoczy z pomostu na mury. Do obsadzenia wież zgłasza się tylu chętnych, wielu jest wojów w szeregach.

...Lecz kiedyż upragniony szturm nastąpi? Wieże zdają się gotowe, a Grek ciągle zwleka...

— Widzi mi się, że jutro można ruszać — nagabywał go niecierpliwie Rajmund St. Gilles. — Beluardy ze wszystkiem skończone...

— Tak się tylko zdaje, Wasza Miłość. Jeśli skutek ma być pożądany, trzeba jeszcze popracować parę dni...

— Parę dni! — wykrzyknął Rajmund z oburzeniem. — Nad czem?! Koła już są, młot pięknie chodzi, o...

Porywczy grabia poskoczył i szarpnął za dźwignię. Wielka belka, stanowiąca taran, zakołysała się, a nie trafiając na opór muru, zleciała z hukiem z łożyska, omal nie przygniatając stojącego przy wieży pana de Foix.

Pantopulos uśmiechał się pod wąsem.

— Sami widzicie, szlachetny panie, że wieża jeszcze ukończona nie jest... Raczcie pohamować słuszną niecierpliwość... Gdy się tak długo czekało, jeden dzień więcej, jeden mniej, różnicy nie zrobi...

— Przeciwnie! Im dłużej, tem większa męka czekać choć godzinę... Jutro sobota, dobry dzień do szturmu...

— Dobry istotnie. Niech Wasza Miłość naznaczy szturm na przyszłą sobotę...

— Co? Jeszcze tydzień? A niedoczekanie! Pracujcie i nocą, ale najpóźniej do wtorku musi być gotowe! Inaczej — dorzucił z pasją — zaczniem dochodzić przyczyn tej opieszałości!...

Pantopulos zamrugał niespokojnie powiekami.

— Opieszałości! — zawołał żałośnie. — Bóg miłosierny widzi, jako dla Jego chwały pracuję dzień i noc. Taka mnie za to wdzięczność spotyka! Cóżem ja winien, że srogie machiny muszą zająć nieco czasu... Zresztą, dostojny panie, każdy dzień pracuje dla was. Gród teraz już żywności znikąd nie dowozi i głód się w nim pewnikiem zaczyna.

— Toż właśnie! — zakrzyknął grabia St. Gilles — chcę jeszcze walczyć z dobrymi wojami, nie z głodomorami, którym miecz wypada z garści!

— Postaramy się z pomocą Bożą dokończyć do wtorku — zapewnił żarliwie Grek.

— — — — — — — — — —

Fontanna pluszcze jak zwykle, złote kule padają na misę z tym samym co zawsze dźwiękiem, tylko emir Mudżahid nie jest już ten sam co dawniej. Aż dziw, jak postarzał przez ostatni miesiąc. Coraz trudniej przychodzi mu utrzymać spokój, właściwy doskonałemu wyznawcy Proroka. Choć wierne usta powtarzają ulubione sury, dusza nie czerpie już z nich pokrzepienia. Ciężar niepewności legł na siwej głowie. Jak postąpić dalej? Co czynić? Giaury wyśledziły galery dowożące żywność i przejęły je. Co gorsza, żona i syn sułtana wpadli w ręce niewiernych. Emir spodziewa się, że sułtanka nie dostała się w nie żywą, ale jaki los spotkał dziedzica sułtańskiego tronu, ukochanego syna Kidżil-Arslana? Czy sułtan nie uczyni odpowiedzialnym za ich stratę swojego wiernego sługi? Nie posądzi o lekkomyślne narażenie na zgubę? O, czemuż emir ustąpił przed natarczywością Dżuriszy? Z niewieścim uporem żądała, by ją wywieziono z miasta, w którem nie chciała pozostawać dłużej ani chwili... Galery codziennie odpływały i przypływały bezpiecznie... Emir przyznawał w duchu słuszność żądaniom sułtanki. Wyjechała. A ot, co z tego wynikło...

A teraz?... Czarne zbójeckie statki trzymają nieustannie straż na jeziorze. W mieście zaczął się na dobre głód. Już żywność wydaje się tylko obrońcom. Tłumy łaknące chodzą po ulicach i wyją z głodu, lub siedzą na placach, wzywając głośno Allaha. Giaury podobno gotują się do natarcia. Pobudowali wielkie wieże... Bismillah el rahman el rahim! Obyż ruszyli jaknajprędzej, póki są jeszcze siły do walki! Póki dłoń nieosłabła może z rozkoszą zanurzyć płytkie żelazo w plugawem cielsku tych, co nie znają Proroka! Póki przed śmiercią waleczną zdoła się napsuć dość wrogów. Obmierzłych, przeklętych wrogów! Och, jakże ich nienawidzi Mudżahid syn Dżubaira! Jak ich nienawidzi! Za to, że przyszli tutaj, w przymierzu z Iblisem urągać wielkości Proroka, za głowę syna rzuconą szydercza na mury, bladą, najdroższą, jedyną głowiczkę — za tępotę, hałaśliwość, prostactwo... Jeżeli wolą Allaha, który doświadcza swych wiernych, jest, by Nicea wpadła w ręce wroga, niech będzie nim każdy inny, bodaj Grek, byle nie oni!... Nie oni!...

(C. d. n.)



Na jeziorze Rospuda

WODY—LASY—LUDZIE

W osiedlu żeglarskiem na jeziorach Augustowskich

Dziwnie było trudno dotrzeć do tych jezior Augustowskich! Jeździło się po Polsce, ale o tym zaczarowanym kraju wód i puszczy tylko się zawsze — myślało!

Tego roku zaczarowaną puszczę odczarowano, i jedzie się wprawdzie jeszcze dość długo, ale bezpośrednio z Warszawy i w osiem godzin zwykłym pociągiem jest się nietylko w Augustowie, lecz w lesie, nad samą wodą, że tylko skoczyć do kajaka... Ten cud dokonał się nie sam, oczywiście, lecz dzięki energji sportowców wojskowych: w Augustowie zbudowano w przeciągu kilku miesięcy wspaniały gmach Oficerskiego Yacht-Klubu, a za stacją Augustów sklecono mały przystanek o dumnie brzmiącej nazwie: Augustów-Port, o parę kroków od Klubu i przystani nad jeziorem Białem-Krechowieckiem.

Bez trudu zmieści się w Domu Klubowym przeszło setka gości — 40 pokojów, sale towarzyskie, szatnie, bibljoteka, salony i jadalnie, pokój do korespondecji, obszerne tarasy. Dom stoi w pięknym lesie sosnowym, chroniony od wichrów, a ku południowi zwrócony na otwartą przestrzeń jeziora, nasłoneczniony od strony wody. Plaża, przystań jachtowa tuż obok.

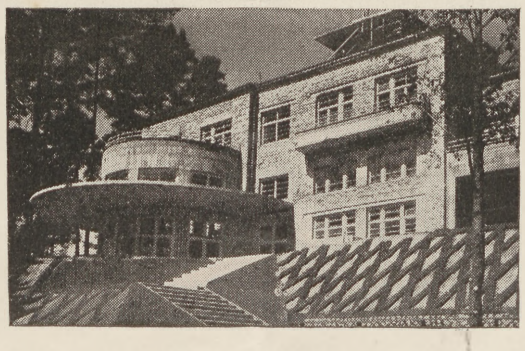
Jest tu poprostu aż za dobrze — jak na leśny schron sportowców, jest to przecież Europa i trzeba dopiero wyjść w okolicę, by zobaczyć, że są tam takie same nędzne chałupy i lepianki, a w najbliższem nieskanalizowanem mieście Augustowie 13.000 ludzi mieszka w takich samych brzydkich domkach, jak gdzieindziej na wschodniej prowincji. Stanowczo Dom Of. Yacht-Klubu jest pomyślany i zbudowany — na wyrost czasu i na optymizm naszych stosunków.

Również nad jeziorem Białem-Krechowieckiem znajduje się znacznie skromniejszy, drewniany budynek, schronisko i przystań Yacht-Klubu Polski. O parę kilometrów, nad jeziorem Necko w Augustowie — Dom Nauczycielski i przystań szkolna, poświęcone uprawianiu sportów wodnych.

Trudno sobie wymarzyć lepsze warunki, od tutejszych, dla sportu wodnego. Wielokilometrowe powierzchnie jezior, połączonych ze sobą śluzami, kanałami i rzeczkami — wielkie przestrzenie wolne, a jednocześnie urozmaicone i powabne. Masy wód, zamknięte zielonemi brzegami — i nie są to lasy bylejakie, lub nudne łączki. Nad jeziorami wiszą obszary puszczy, gęstej i zarosłej od dna po wysokie szczyty sosen, dębów, jodeł, splątanej zielenią wszelkich kształtów i odcieni.

Fantastyczne formy jezior, rozciągniętych półksiężycami, z licznemi zatokami i wrębami, wywołują ciągle złudzenie, że ściana zieleni zamyka się i odcina horyzont. Niespodziewanie, naraz otwiera się przejście, wynurza się nowe jezioro, kanał, zakręt odsłania nowe widoki. Jest to pełna czaru i piękna niespodzianka przyrody.

Dom Oficerskiego Yacht-Klubu w Augustowie



Człowiek też przyczynił się do ukształtowania uroczego krajobrazu: dzieło Lubeckiego, kanały i śluzy na jeziorach Augustowskich, zbudowane przed stu przeszło laty, dziś już robią wrażenie prymitywów, choć uderzają wielką solidnością. Nazwiska twórców tej roboty inżynierskiej czyta się na tablicach, wmurowanych w śluzy, gdy białe stateczki rzeczne, motorówki i kajaki, płynące z jeziora na jezioro, przemykają się powoli przez te ciekawe budowle wodne dawnych czasów.

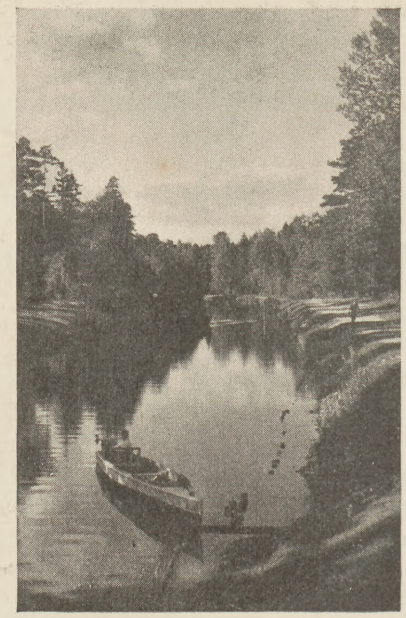
Nadewszystko na jeziorach tych króluje żagiel. Białe motyle suną po wodach, nachylając chybkie skrzydła nad falą. Jeziora wyhodowały sobie swych żeglarzy, a żeglarze kochają się w jeziorach. Z każdym rokiem przybywa sportowców i amatorów. W ośrodkach żeglarskich organizuje się kursy, urządza się regaty. Zimą odbywać się mają odpowiednie sporty: saneczkarstwo, narciarstwo, jachting lodowy, skijöring, łyżwiarstwo.

Jeziora Augustowskie, choć tak blisko z sobą sąsiadujące i połączone z sobą, mają wybitnie rozmaity charakter, różny wygląd i nawet różne barwy wód. Więc jezioro Białe-Krechowieckie ma jasną wodę, smużastą, z nalotem białawym; jezioro Studzienicze jest szmaragdowe, a Necko — ciemno-błękitne. Woda w kanale Augustowskim, nieruchawa i senna, jest czarna, połyskliwa i kusząca, wśród wysokopiennego lasu - puszczy, odcinającej się pionową ścianą.

Zagubione w lasach jezioro Sajno i odleglejsze jezioro Serwy, do którego prowadzi romantyczna, skomplikowana dro-



Kanał Augustowski



Za śluzą Swoboda

ga, przez śluzy i rzeczki, są celem półdniowych i całodziennych wycieczek pieszych, kajakowych i żeglarskich. Słynne i godne swej sławy jezioro Wigry, wymaga dojazdu bądź koleją do Suwałk, a stamtąd pieszo lub końmi 12 kilometrów drogi, bądź też wprost z Augustowa autobusem, dobrą szosą, pośród cudownego lasu (43 km). Jedzie się zrazu przez łąki, pola i rzadkie osiedla, a potem przez jodłowy, sosnowy i dębowy las — już nie las, lecz puszczę zieloną, kapiącą barwami szmaragdu i malachitu, w której co krok natyka się człowiek na starodawne nazwy uroczysk, i tylko czeka się, kiedy wyleci stamtąd jejmość na miotle, lub kuso ubrany czarny człowieczek, poprzedzany przez pstrego koguta.

Wigry z ich po-kamedulskim zrujnowanym kościołem na górce, na półwyspie, z nowoczesnym ośrodkiem wiedzy: Stacją Hydrobiologiczną Instytutu im. Nenckiego, nowobudującą się wylęgarnią ryb, z schroniskiem krajoznawczem, są jedną z najciekawszych atrakcyj okolicznych.

Po drodze trzeba zahaczyć o Suwałki: nic w tem miasteczku niema do zobaczenia, prócz frontonu synagogi; są natomiast doskonałe specjały z ryb i wyjątkowo ślicznie i kulturalnie utrzymany, ukwiecony park, jakby żywcem przeniesiony z Italji. Na pryncypalnej ulicy tablica z upamiętnieniem domu, w którym mieszkał Komendant Piłsudski.

Po tem baedekerowskiem zwiedzeniu Suwałk, trzeba wrócić nad jezioro Krechowieckie, by znaleźć się w najmilszej atmosferze sportowej, wśród żeglarzy, którzy po całodziennych wyprawach i przygodach, z wichrem i deszczem w zawody, powrócili do ogniska.

Jest tylko jedna trudność — jak dostać się do tego wspaniałego ogniska, przeznaczonego wyłącznie dla Oficerskiego Yacht-Klubu? Zwykły cywil nie przemknie się tam bez zaproszenia. Na szczęście, sportowcy są gościnni, a dla wycieczek zorganizowanych mają szczególne względy.

Jadwiga Krawczyńska

Jezioro Białe-Krechowieckie



O niejakim Konstantym Brandlu

„Senore Constanto“ jest chyba dość daleko, by nie móc mnie zburczeć za to, że o nim piszę. Siedzi teraz w Bahii, w Brazylji, i w rzeczywistości wcale nie nazywa się ani „senore Constanto“, ani „monsieur Brandel“, tylko poprostu — Konstanty Brandel, przemiły człowiek o gołębiem sercu, przeokropny dziwak, a przytem pierwszorzędny artysta-grafik. Ma lat pięćdziesiąt z ogonkiem, kocha się jak młokos i bieduje od trzydziestu lat bez przerwy. Niewielu zapewne w Polsce zna jego prace, a jeszcze mniej jego nazwisko. Ci wszakże, którym było dane bodaj zawadzić o Paryż, a zwłaszcza o kolonję polską lub dom polski na ulicy Lamande, znają wyśmienicie „kochanego Brandelezjusza“ i niejedno z pewnością mają mu do zawdzięczenia: albo stare koszule, albo wyśmienity obiad na maszynce spirytusowej, albo wreszcie niezapomniane objaśnienia przy zwiedzaniu Notre Dame. Tak przez trzydzieści zgórą lat żył skromniutki i zapracowany na stryszkach i mansardach paryskich, mając nad głową dziurę w suficie, a na ścianach miast okien i obrazów... krzesełka, porozwieszane dla gości. Tak żył — powiadam — zgórą trzydzieści lat, dopóki któregoś słonecznego dnia nie machnął mi na Gare St. Lazare kapeluszem i nie powtórzył za mną, jak dziecko, *de bon courage:* „wszystko będzie dobrze!“ Od tego dnia nikt ani na Lamande, ani na Bd. Raspail nie spotkał jego przeraźliwej chudości, rogowych okularów i olbrzymiej teki pod pachą. Wyjechał na zaproszenie konsula francuskiego w Bahii, p. Comeau, robić freski w kościołach Brazylji, urządzić wystawę grawjur w Rio de Janeiro, nauczyć się po portugalsku i przywieźć tekę akwarel. Zdaje się, że rzeczywiście „wszystko będzie dobrze“, przynajmniej takby pozwalała sądzić pierwsza wiadomość, jaką senore Constanto nadesłał *par avion:* „Walory świetlne!... jestem bliski warjactwa. — Brandel“. A tak bardzo bał się, biedaczysko, podróży morskiej, a jeszcze chyba bardziej tęsknoty za ukochaną!

Poznałem Brandla w okolicznościach niezmiernie charakterystycznych dla niego. Było to wieczorem, na Żoliborzu, u wspólnych znajomych, tuż przed wyjazdem Brandla spowrotem do Paryża. Towarzystwo było dość liczne, rozmowy miłe, sierpniowa noc piękna, więc omal nie przegapiłem ostatniego tramwaju. Kiedy zorjentowałem się w sytuacji i wybiegłem pośpiesznie na ulicę, zauważyłem biegnącego obok mnie siwego pana w rogowych okularach, z którym w ciągu całego wieczoru przerzuciłem się zaledwie kilkoma zdaniami. Nie zwalniając biegu, rzuciłem: „Pan też do tramwaju?“ — Nie — odsapnął tuż obok ziejący Brandel. Mieszkam na sąsiedniej ulicy. — Po chwili zaś, młócąc bez przerwy nogami, dokończył: — Odprowadzam, bo w razie czego, to zabiorę pana do siebie. — Nie miałem czasu zdziwić się. Nadjechał tramwaj, wskoczyłem, pojechałem. Pamiętam tylko, że zdążyłem jeszcze w ostatnim momencie wychylić się przez okno i krzyknąć: dziękuję! Do zobaczenia w Paryżu!

Jakoż w niespełna kilka miesięcy spotkałem się z Brandlem na rue de Seine, potem na Bd. Raspail, aż wkońcu zostałem jego sąsiadem z drugiego piętra na Lamande. Niezapomniane to chwile! Cała epopea wdzięczności. Sekundował mi w niej poniekąd i mój przyjaciel, studjujący w Paryżu język abisyński, p. T. Noakowski. Mieliśmy wówczas możność zżyć się z „Brandelezjuszem“ w codziennych tarapatach i wielogodzinnych rozmowach. Obserwowałem zbliska warunki, w jakich pracuje polski artysta zagranicą, wysoko ceniony przez obcych, przez swoich prawie nieznany. Podziwiałem zbliska zarówno jego akwaforty

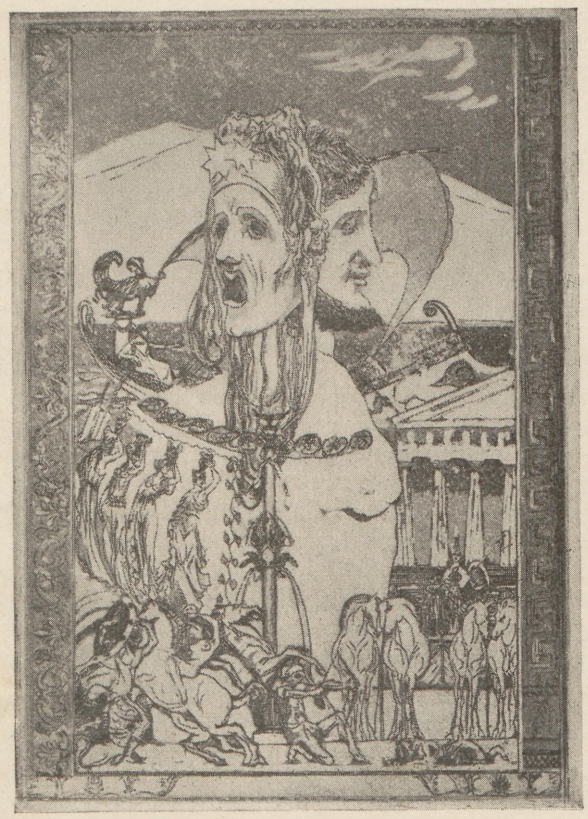


Autoportret artysty

i miedzioryty, jak prawie niespotykaną u nas erudycję zawodową i kulturę ogólną, ważyłem wreszcie ilość poświęceń, jakie ten człowiek od tylu lat ponosił dla swojej sztuki. Powoli, bardzo powoli, i to przeważnie od ludzi postronnych, dowiadywałem się o szalonych ekskursjach Imć Brandla do Włoch, Hiszpanji i Belgji w celach ściśle związanych z jego *métier:* dowiedziałem się także o sukcesach na wystawie w Genewie (bodaj w r. 1925) oraz o uznaniu, jakie posiada w kołach plastyków francuskich w Paryżu. Co jest jednak najważniejsze to to, że wszystko mogłem stwierdzić własnoręcznie i własnousznie w sposób tak namacalny, jak tylko namacalna może być dla nas wartość drugiego człowieka.

Uważałem przeto za swój obowiązek skorzystać z tego, że „senore Constanto“ przebywa obecnie w Bahii i poświęcić mu tych kilka słów — dalekich od krytyki (nie będąc grafikiem, jakże mogę oceniać rzeczowo walory prac Brandla?), ale dalekich również od przesady, która może specjalnie w wypadku K. Brandla wypadłaby znacznie bladziej, niż prawda.

Jan Miernowski



Impresja architektoniczna

Wiele jest środków przeciwko hemoroidom. Wynik kuracji świadczy o zaletach użytego środka. Czopki „*Varicol*“ Gąseckiego stosuje się przy bólach hemoroidalnych: krwawieniu, swędzeniu, pieczeniu i innych objawach.

Przy zewnętrznych guzach hemoroidalnych stosuje się maść „*Varicol*“.

„*Varicol*“ Gąseckiego nie zawiera szkodliwych składników.

Wyroby Srebrne

BRACIA HEMPEL

Krak. Przedmieście 7.

POLONIŚCI NA CENZUROWANEM

Nie od dzisiaj zaczepiają literaci i krytycy polonistykę i polonistów. Zaczepki te, z reguły pozostawiane bez odpowiedzi i odparcia, wytworzyły w sferach czytających bardzo szczególne pojęcie o badaczach literatury i o samych badaniach literackich.

Grzechy polonistów... Ale których polonistów? Szkolnych czy uniwersyteckich? Bo często zapalczywi oskarżyciele mieszają nauczycieli języka polskiego z badaczami literatury, plącząc dwie sprawy: dydaktykę szkolną i studja naukowe. Może byłoby dobrze rozróżniać te rzeczy. W tej chwili odsuwamy nauczycieli i dydaktykę nabok, zatrzymując się wyłącznie przy badaczach i przy nauce.

Naco badacze literatury, poco nauka o literaturze? To retoryczne pytanie jest najpospolitszym z zarzutów, stawianych polonistom. Rolnik i rzemieślnik, inżynier i doktór są pożytecznymi i niezbędnymi członkami społeczeństwa, ale poloniści, jedna z podlejszych gałęzi humanistycznej rodziny, to społeczni pasorzyci. Tak sądzi ogół.

I cóż na to mają począć badacze literatury? Mogą wzruszyć ramionami i wrócić do przerwanej pracy, mogą też wysłuchać oskarżenia do końca, przejąć się niem i porzucić swój „zawód". A mogą też — odpowiedzieć. Naprzykład tak: „Nie szantażujcie nas, panowie literaci, ciasnym utylitaryzmem, bo jest to kij o dwu końcach, którym godzicie równocześnie w nas i w siebie. Jesteśmy potrzebni o tyle, o ile potrzebna jest sama literatura. Służymy jej w miarę sił i możności. Ślęczymy nad nieczytelnemi rękopisami, ażeby dzieła mistrzów ukazywały się światu w czystej, nieskażonej formie. Zbieramy z miłością i pieczołowitością wszelkie bio- i bibljograficzne dokumenty, bo literatura to nietylko utwory, to również prywatny świat pisarza i sfera literackich doznań czytelnika. Śmiejecie się z filologów, którzy wpatrzeni w tekst nie widzą poza tekstem dzieła. Ale przeoczacie, że ta żmudna filologiczna robota ma swoisty wzniosły ethos, polegający na bezinteresownem i bezosobistem służeniu prawdzie, — ethos, o którym w gorących słowach pisał nie kto inny jak Stanisław Brzozowski".

Przypuśćmy, że nasz fikcyjny oponent, przeciwnik polonistyki, zmiękł cokolwiek i skłonny był uznać niezbędność i pożyteczność czarnej roboty filologicznej. Ale — zapytuje — przecież badacze literatury mają znacznie większe ambicje. Nie wystarcza im tekst, sięgają również po dzieło. Analizują utwory literackie, wnikają w psychikę pisarza, rozważają wpływy i zależności, a czy jest to praca potrzebna? Trudno nazywać to nauką, bo nigdy nie osiągną badania literackie prawdziwej ścisłości, ścisłości nauk przyrodniczych. Nie można także mówić o praktycznem znaczeniu historyczno-literackich analiz. Niepotrzebne są one czytelnikowi, który lubi bezpośrednio obcować z dziełem, bez narzucającego się natrętnie komentarza.

Spróbujmy odpowiedzieć na te zarzuty. Oponent wytyka polonistyce nienaukowość i nieużyteczność. Czy jednak słusznie? Nowsza filozofja udowodniła niezbicie, iż rzekoma objektywność poznania w naukach przyrodniczych jest legendą. Niema czystego empiryzmu, wszelkie poznanie naukowe opiera się na systemie założeń (pewników) i chwytów metodycznych. Nauki humanistyczne mają odrębne założenia, różne od przesłanek nauk przyrodniczych, różność ta jednak jest tylko jakościowa i nie można budować na niej teorji o „naukowości" przyrodoznawstwa i „nienaukowości" humanistyki.

Podobnie przedstawia się sprawa użyteczności społecznej polonistyki. Rozwój nauk ścisłych uczynił człowieka panem ziemi, władcą przestrzeni i czasu; każdy musi podziwiać cudowne zdobycze nowoczesnej techniki. Ale przyrodoznawstwo nie obejmuje całego człowieka, ujmuje go ono jednostronnie jako t. zw. istotę naturalną, dążącą do zaspokojenia naturalnych potrzeb. A człowiek jest czemś więcej. Siły, dostarczane przez naukę, obraca on w takim lub innym kierunku, zależnie od ideałów, jakie wyznaje. I humanistyka, w prawdziwem znaczeniu tego słowa, jest jednym z terenów, na których różne ideały staczają walkę o panowanie nad duszami. Czy można więc odrzucać humanistykę, pozostawiając urządzenie świata technikom? Przecież olbrzymia, imponująca, oplatająca całą ziemię, sieć głośników i anten radjowych jest sama w sobie pusta i martwa. Dopiero słowo nadaje jej życie, słowo rozbrzmiewające za pośrednictwem mikrofonu w tysiącznych echach, słowo i jego ciemny sens, nad którym nachylają się humaniści.

W tem miejscu oponent, odawna już uśmiechający się ironicznie, zauważa złośliwie: „Piękne i wielkie zadania, ani słowa, ale proszę pokazać, jak to wygląda w rzeczywistości, o jakie ideały „walczą" poloniści, np. profesor X... docent Y... doktór Z...?" To pytanie sprawia nam kłopot niemały, mieszamy się, przeciwnik ma przez chwilę poczucie triumfu, ale nie poddajemy się jeszcze. Mówimy przecież o polonistyce, nie o polonistach. Nauka nie może być odpowiedzialna za grzechy swych niefortunnych adeptów. Przyznajmy zresztą szczerze: w ogólności poziom naszej nauki o literaturze, pomijając kilka wyjątków, nie przedstawia się zachwycająco.

Dość powiedzieć, że naszej nauce o literaturze nie dostaje trzech rzeczy: 1-o — kultury filozoficznej, co nie oznacza znajomości filozoficznych systemów, lecz kulturę (technikę) myślenia; 2-o — wyczucia i poczucia zagadnień istotnych, ogólnohumanistycznych; z tego braku wywodzi się panujące przyczynkarstwo, tak dawniejsze filologiczne jak i nowsze, formalne; 3-o — wielkich koncepcyj, cechujących wszelką prawdziwą twórczość, zarówno polityczną jak i artystyczną i naukową. Nie widzimy wśród historyków literatury polskiej ani jednego, którego możnaby pod tym względem postawić narówni z takimi uczonymi jak Gundolf, Strich lub Cysarz.

Takie są „grzechy" i braki rzeczywiste. O nich jednak zawodowi krytycy polonistyki zdają się wogóle nie wiedzieć. Wiele zato rozwodzą się oni nad tem, że polonistyka jest nudna i że wisi w próżni, „poza życiem". Te dwa zarzuty: „nuda" i „oderwanie od życia" powtarzają się bez końca w najrozmaitszych warjantach i odcieniach. Przypatrzmy się im bliżej.

Mówiąc o nudzie, mają zwykle na myśli krytycy polonistyki pedanterję, pozorującą naukowość. Weźmy np. metody statystyczne w badaniach literackich. Zlicza się obrazy, metafory, rymy męskie i żeńskie, nieomal samogłoski i spółgłoski. Ale samo obliczenie nie jest ani kompromitacją, ani naukową zasługą, wszystko zależy od wyprowadzonych z materjałów wniosków i uogólnień. Pozornie bezduszne, mechaniczne zestawienia stają się w ręku prawdziwego badacza podstawą i pretekstem do rzutowania szerokich perspektyw na rzeczywistość duchową. Ścisłość bez talentu staje się utrapieniem, pedanterją, nudą, ale bez ścisłości niema wogóle nauki i twórczości w nauce.

Polonista winien być zajmujący, pisać lekko, barwnie a dogłębnie. W tem niewinnem sformułowaniu ukrywa się jeden z popularniejszych zarzutów, wysuwanych przez przeciwników „nudziarstwa". Ideałem ich jest Francja, francuska *clarté*, paryski szlif i gaskoński dowcip. Nie wiedzą, biedni, że w dziedzinie badań literackich daleko, bardzo daleko Francuzom do Niemców i Rosjan. Lekkość, smak i dowcip to wielkie rzeczy, ale prawdziwemi cnotami badaczy są pomiatane przez feljetonistów: gruntowność, dokładność, precyzja wysłowienia. Każde dzieło filozoficzne wydaje się nam zrazu nudne, ale w miarę czytania, o ile jest to dzieło naprawdę wybitne, porywa nas prąd rozwijającej się myśli, a nieraz wobec doskonałych konstrukcyj myślowych doznajemy wręcz estetycznych rozkoszy.

Drugi rodzaj zarzutów: nieżyciowość. Dzieła polonistyczne są nieaktualne, nie wiążą się z kwestjami, które zaprzątają nasz umysł nacodzień. Uwaga ta jest słuszna. Polonistyka nawet posuwa się w tym kierunku, uwalniając się od drastycznej aktualizacji. Inaczej było przed wojną, kiedy niejeden badacz literatury przerywał cochwila tok naukowych rozważań, wydając okrzyki patrjotycznego zachwytu, bólu lub zgorszenia. Tego rodzaju „chwyty" naogół wyszły z użycia.

Rzeczywiście, uczony odrywa się poniekąd od życia, izoluje z niego jedną sprawę, której poświęca się wyłącznie. Ale właśnie poprzez tę izolację dochodzi polonistyka (i wogóle nauka) do praktycznego życiowego znaczenia. Bo wybitne dzieło humanistyczne, wychodząc z pracowni uczonego w świat, staje się nowym zaczynem fermentu umysłowego. Wyrzeknijcie się, humaniści, życia (aktualności), a zdobędziecie je!

Inny zarzut. Myślenie naukowe odwraca się z pogardą od myślenia potocznego, opierającego swe konstrukcje na bezpośredniej, żywej obserwacji. Poloniści demaskują bezlitośnie krytyków i publicystów, i przez to nie wytwarza się u nas jednolita, ogólna kultura duchowa, jak np. we Francji. Ale przecież myślenie naukowe *ex definitione* demaskuje takie potoczne i zawodne sprawdziany jak „oczywistość", „naturalność", „zdrowy rozsądek". A czyniąc tak, nie zabija bynajmniej żywej obserwacji.

Wielka polonistyka jest potrzebną, jest niezbędną dziedziną kultury. A o tem, że jest możliwa, świadczą nietylko Niemcy i Rosjanie, lecz i dzieła znakomitego uczonego, jedynego „klasyka" polskiej nauki o literaturze, Bronisława Chlebowskiego.

Ludwik Fryde



„Wiosenne porządki“ w Teatrze Małym: pp. Lindorfówna, Kępa i Warnecki *Fot. St. Brzozowski*

W TEATRACH STOLICY

Wyścigi fars

Idąc latem na premjerę, dobrze jest wstąpić do optyka i kupić sobie różowe okulary. Inaczej można się uwikłać w polemikę z maszynistami i figurantkami, a co gorsza popaść w konflikt z kanonami meteorologji teatralnej. A kanony te, wbrew zdaniom zbyt gorących reformatorów, istnieją. Świadczą o tem pozamykane na lato bramy znacznej części teatrów europejskich i błahy, typowo rozrywkowy repertuar teatrów czynnych. W ciągu lipca na przestrzeni całych Niemiec nie było ani jednej sztuki godnej widzenia. Prawda, w różnych miastach odbywały się teatralne „Festspiele“, przedstawienia na „scenach wolnych“, z repertuarem klasycznym, Goethem i Schillerem, cieszące się zresztą ogromnem powodzeniem. Ale w Berlinie i Hamburgu można było oglądać same operetki, a w Monachjum po raz niewiadomo już który „Krach um Jolanthe“.

Prawa meteorologji teatralnej nie są jeszcze zbadane, ale zdaje się, że istotnie wymagają latem repertuaru rozrywkowego, a co za tem idzie, różowych okularów, przedstawienia kryterjów oceny na inną zwrotnicę. Jeśli idzie o Warszawę, tranzytowy punkt wszystkich urlopów, możnaby popróbować jednego: w ł a ś n i e latem dawać w teatrze Narodowym repertuar klasyczny zmienny. Czemużby nie zainaugurować tradycji stołecznych festiwalów teatralnych z Wyspiańskim, Słowackim, Mickiewiczem? Czemużby nie pobudzić w tym kierunku ambicyj prowincji? Widziałem naprzykład w Płocku wymarzone miejsce, naturalny amfiteatr nad samą Wisłą, gdzie możnaby tanim kosztem zbudować wolną scenę i uczynić ją frankfurckim Römerbergiem.

Zanim te marzenia będą spełnione, włóżmy — cóż robić — różowe okulary i zobaczmy, jak kona lato teatralne według starej prognozy. Zapewne, sytuacja krytyka jest trochę żenująca, żal mu „odchodzić od stron ojczystych“ i stawać się sprawozdawcą poziomych uciech tłumu. Psia gwiazda i psi los. Nic dziwnego, że ten i ów zbuntuje się i palnie słowa prawdy, oczywiście prawdy b e z w z g l ę d n e j, nie skorygowanej względami życia. Jeżeli zgodzimy się, że repertuar rozrywkowy w lecie jest koniecznością, ocena jego może wychodzić tylko z jednego punktu widzenia: czy sztuki te nie zdemoralizują widza, czy nie zepsują jego smaku, nie stępią wrażliwości. Gdy ten warunek jest spełniony, resztę, gdy już koniecznie trzeba, niechże sobie reguluje kasa.

Dwie przejściowe sztuki w teatrach Małym i Letnim wyznaczają dość dobrze granicę, do której sięgnąć może repertuar rozrywkowy. Wyznaczają tem lepiej, że jedna z nich leży powyżej, a druga poniżej linji demarkacyjnej.

Za właściwą sztukę rozrywkową uznać można „Wiosenne porządku“ Anglika (?— są pogłoski, że to mistyfikacja) L. E. Huxleya. Ocenę jej da się przeprowadzić nietylko negatywnie, że tego a tego nie obraża, ale i pozytywnie. Jest to komedyjka wzorowo zbudowana, z nieznacznemi tylko naciągnięciami fabuły; układa się w symetryczny deseń konstrukcyjny, nakreślony zresztą linjami przecinającemi się pod kątem niekiedy zawadjackim. Zawartość może niezbyt prawdziwa, może taki lord i taki syn lorda niedość szczelnie przystają do świata pojęć angielskiej gentry, a[illegible]ktoby tam dbał o zawartość w farsie: toż to tylko prolegomena prawdziwej komedji. Wielką zaletą tych „Wiosennych porządków“ jest wyraźny wstręt do trywialności, atmasfera schludności moralnej, dobry smak w doborze dowcipów, z których wiele pochodzi z pierwszej (i szczęśliwej) ręki.

Nie można, niestety, powiedzieć tego wszystkiego o premjerze teatru Letniego, „Kubusiu“ Letraza. Przy najlepszej woli niepodobna nazwać jej inaczej, jak głupstewkiem. Tektonika sytuacyj komicznych jest zbyt karkołomna, żebyśmy mogli uwierzyć w ich prawdziwość. Burżuazja francuska złapana jest na kliszę z dużą ostrością, ale jak często w farsie francuskiej, razi nas nieprzyjemny tonik cynizmu, nie znającego żadnej hierarchji przy wyborze przedmiotów zabawy. Śmiech wymuszony za cenę degradacji intelektualnej, jeśli nie moralnej — nic przykrzejszego nie może być w teatrze.

I ciekawa rzecz: sztuki obie, w teatrze Małym i Letnim, grane są ściśle według swej wartości. Gdy „Wiosenne porządki“ w reżyserji p. Warneckiego mają wdzięk, lekkość, dowcip, „Kubuś“, być może wbrew najlepszym wysiłkom p. Chaberskiego, mimo żwawego tempa, grzeszy sztucznością



„Teatr Mały": pp. Kajzerówna i Warnecki Fot. St. Brzozowski

i brakiem prawdziwego humoru. W teatrze Małym obsada jest bodaj idealna: czarująca p. Lindorfówna, rzadkiej elastyczności kowersator p. Warnecki, nienaganni pp. Justjan, Grobicki, Kempa i in. W teatrze Letnim wątpliwości budzą i p. Kurnakowicz i p. Samborski, a poza poprawnością pp. Łapińskiego i Jarszewskiej tylko świetna rola p. Buczyńskiej zasługuje na pełne uznanie.

Chwała Bogu, sezon ogórkowy kończy się i lada tydzień będzie można schować różowe okulary do futerału. Na cały rok, aż do przyszłej kanikuły...

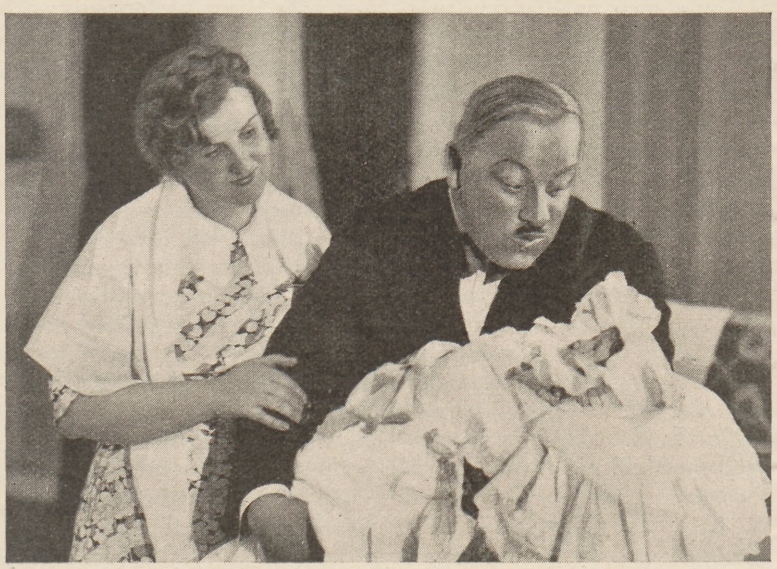
Secesja Malickiej

Znałem niepośledniego humorystę, który porzucił intratne stanowisko w pewnej redakcji i popadł w nędzę... z nudów. Zbrzydła mu regularność, z jaką kasa wypłacała pobory: — Chodzi człowiek od lat do okienka, a kasjerka wali forsę i wali... To poprostu nie do wytrzymania!

Zdaje się, że taka właśnie szlachetna niechęć do jednostronności jest kamieniem węgielnym nowego warszawskiego teatru, „Teatru Malickiej". Jeśli z teatrami Schillera, Adwentowicza, Jaracza, Solskiej wiążą się wyobrażenia nowych lub starych już a szacownych, w każdym razie różnych od współczesnej przeciętności dróg artystycznych, a przynajmniej wyobrażenie wielkiego aktora, potrzebującego własnej sceny do pełnego wyżycia się, to z „Teatrem Malickiej" kojarzy się zaledwie piękna buzia jego właścicielki (kalamburzysta powiedziałby: m a l i c k a!), znudzona zbyt jednostajnym poklaskiem „krytyki i publiczności". P. Malicka oprócz wyjątkowo okrągłej urody ma zresztą nieprzeciętny talent i pod opieką czujnego reżysera może tworzyć, jak tworzyła już nieraz, podziwu godne kreacje. Ale nie wydaje się, aby miała prawo do secesyj, oczywiście mierząc rzecz kryterjami rozwoju kultury teatralnej, nie kupieckim „laisier-faire'yzmem". Secesje muszą odbywać się w imię c z e g o ś, ku wzniesieniom wyższym, niż punkt wyjścia. A tymczasem „teatr Malickiej" — przynajmniej pierwszą swą sztuką — przeniósł nas wdół, w płaszczyznę depresji kulturalnej: na prowincję.

Wszystko to jeszcze może się zmienić, ostatecznie profil artystyczny teatru, choćby najlekkomyślniej poczętego, kształtuje przypadek: jacy autorzy dramatyczni oddadzą mu swoje sztuki. „Teatr Malickiej" ma podobno grać Cwojdzińskiego i Nałkowską i nie jest wyłączone, że po kilku tygodniach ocenimy go zupełnie inaczej. Narazie razi w nim specyficzna atmosfera, ostentacyjny ekshibicjonizm kobiecej urody na tle snobistyczno-sybarystycznej elegancji *milieu*. Razi tem bardziej, że siedzimy przecież w podziemiach przy ul. Karowej... W tych katakumbach straszy, tłucze się po kątach duch zeszłorocznego teatru „Comoedia". Woleliśmy ich zakurzone klocki drewniane, na których potem kilkudziesięciu straceńców podjęło koczowniczy strajk, niż wykwint dzisiejszej garsoniery. Pasja służby sztuce przemieszana z pasją służby społecznej, ożywiająca ten zespół dość przeciętnej urody dziewcząt i zgrubsza sobie ciosanych chłopców, roz-

„Kubuś" w Teatrze Letnim: pp. Buszyńska i Łapiński



„Kubuś": pp. Samborski, Kurnakowicz i Brzezińska Fot. J. Malarski



pyliła się na cztery wiatry, ale trochę z tego fluidu pozostało w tej sali i zabarwia aurę nowego teatru lekkim rumieńcem wstydu.

O utworze p. Niewiarowicza „I co z takim robić“ możnaby napisać tom, tak jest charakterystyczny dla wyobrażeń autorów pewnego typu o sztuce dramatopisarskiej. Ale nie warto. Problematyka uczuć w takich sztukach przypominać będzie zawsze tego Żyda z pociągu, który rozumował „Ty mówisz, że jedziesz do Będzina, żebym ja myślał, że jedziesz do Sosnowca. Ale ja nie taki głupi, ja wiem, że ty naprawdę jedziesz do Będzina. To dlaczego ty kłamiesz?“ P. Niewiarowicz był przytem na tyle nieostrożny, że wybrał najtrudniejszy rodzaj sceniczny, sztukę dwuosobową, a nadto konwencjonalną historyjkę, zbudowaną z samych w a d Fredry i Bałuckiego, przerzucił na obowiązujący szlak Paryż — Chicago.

Także wykonanie aktorskie sztuki (pp. Malicka i Sawan) nie nasuwa szczególnych uwag: było jakieś gospodarskie, niedość wypuentowane.

Wacław Syruczek

NOWY TEATR W POZNANIU



Kaz. Korecki, dyr. Teatru Nowego w Poznaniu

Dn. 7 września nastąpiło otwarcie Teatru Nowego w Poznaniu pod dyrekcją Kazimierza Koreckiego, dotychczasowego długoletniego reżysera Teatru Polskiego. Osoba p. K. Koreckiego daje gwarancję, że kierownictwo teatru wywiąże się ze swego zadania i poprowadzi teatr ku pełnemu zadowoleniu publiczności poznańskiej.

Dość trudne zadanie posiada dyr. Korecki, gdyż dotychczasowa opinja Teatru Nowego nie należała do najlepszych, i wierzymy, że tylko dzięki niespożytej energji oraz starannie dobranemu zespołowi uda się teatr postawić na odpowiedniej wyżynie.

Kierownictwo administracyjne objął Stefan Kordowski, który przez wiele lat pracował w teatrach lwowskim i krakowskim.

Wśród zespołu artystycznego widzimy takie nazwiska jak Żbikowska Katarzyna, Korecka Jadwiga, Kaden oraz Noskowski, który równocześnie będzie reżyserował.

Sala Teatru Nowego została zupełnie odnowiona a scena rozbudowana.

Kierownictwo sceny zostało powierzone ludziom, którzy dają gwarancję za staranne przygotowanie pomysłowych dekoracyj.

mak.

POZNAŃ

JEDYNY HOTEL DLA PRZYJEZDNYCH,

BRITANIA,

AL. MARSZ. PIŁSUDSKIEGO 2, TEL. 21-97 i 21-98

Pokoje o wzorowej czystości, woda zimna i gorąca, restauracja, pisma, ceny umiarkowane.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Wacław Lipiński: Walka zbrojna o niepodległość Polski, 1905—1918“. Wydanie drugie, rozszerzone. Instytut Badania Najnowszej Historji Polski. Warszawa, 1935. Str. XX, 486, 4 nlb.

Zbyteczne wydaje się dziś przekonywanie o rzeczach tak oczywistych, jak to, że dzieje polskich walk wyzwoleńczych w epoce wojny światowej, stanowią jeden, nieprzerwany cykl najpiękniejszych przykładów dla przyszłych pokoleń, przykładów wytrwałej, ofiarnej pracy ideowej i wzniosłego poświęcenia dla ojczyzny. Jest rzeczą niemożliwą dziś do pomyślenia, aby w wychowaniu młodych pokoleń, pominąć można było te wzory i przykłady, stanowiące w dziejach narodu polskiego rozdział i najważniejszy i najpiękniejszy. Toteż brak opracowania, obejmującego całość polskiego wysiłku orężnego, który wrócił narodowi niepodległość, dawał się dotkliwie odczuwać przedewszystkiem w sferach wychowawców młodzieży, a pozatem wogóle w najszerszym świecie kulturalnym. Pierwsze wydanie „Walki Zbrojnej“ mjr. dr. Lipińskiego, które ukazało się temu lat cztery, było owocem pracy podjętej ze względu na tę właśnie palącą potrzebę wypełnienia luki w naszej literaturze historycznej. Sam ogrom tematu, nie mówiąc już o stanie źródeł, bądź niekompletnych, bądź też nienależycie jeszcze uporządkowanych, stanowić musiały dla autora olbrzymi wał spiętrzonych trudności, zdawałoby się nie do przebycia. Okazało się jednak, że przy dostatecznej wytrwałości w pracy, jednostka może dokonać rzeczy, którą właściwie powinien wykonać cały zastęp ludzi. Naturalną jest rzeczą, że te trudności musiały odbić się na wynikach pracy, stąd okazało się sczasem, że wiele luk trzeba w książce uzupełnić, że wiele faktów przed czterema laty jeszcze niezrozumiałych lub niepewnych — badania idące ciągle naprzód, już wyświetliły i ustaliły. Potrzeba uwzględnienia w książce tego postępu wiedzy, stanowiła dla autora pierwszy powód opracowania drugiego wydania. Następnym zaś równie ważnym powodem, było zupełne wyczerpanie pierwszego wydania, co stanowi zarazem najlepszy dowód, że książka całkowicie odpowiedziała potrzebom. Najwięcej poprawek i uzupełnień, znajdujemy w rozdziałach o organizacjach wojskowych przed wojną światową, o Legjonach i o Polskiej Organizacji Wojskowej. Różnice między pierwszem a drugiem wydaniem mają znaczenie tak zasadnicze.

Obszerna, ponad pięćset stron licząca praca mjra Lipińskiego, zawierająca historję przedwojennych przygotowań Józefa Piłsudskiego, Legjonów, Polskiej Organizacji Wojskowej, Formacyj Polskich na Wschodzie oraz Armji Polskiej we Francji, opatrzona ponadto wyczerpującemi wskazówkami bibljograficznemi — stanowi nowe, cenne wydawnictwo Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski. Staranne wydanie, doskonały, bezdrzewny papier i liczne ilustracje składają się na piękną całość. Cena księgarska książki wynosi zł. 15.—



Ż. Korman: Materjały do bibljografji druków socjalistycznych na ziemiach polskich w latach 1866—1918. Wydawnictwo Instytutu Gospodarstwa Społecznego, Warszawa, 1935, str. XVIII + 374. Cena zł. 12.—

Nakładem Instytutu Gosp. Społ. ukazały się z druku „Materjały do bibljografji druków socjalistycznych na ziemiach polskich w latach 1866—1918“ w opracowaniu p. Ż. Kormanowej.

Praca p. Kormanowej obejmuje czasopisma i druki socjalistyczne, legalne i nielegalne od początku ruchu robotniczego aż do odzyskania niepodległości, t. j. od siódmego dziesiątka lat XIX wieku aż po koniec 1918 roku. W bibljografji tej zgromadzono wiadomości o pismach i wydawnictwach socjalistycznych z b. zaboru rosyjskiego, pruskiego i austrjackiego oraz z ośrodków socjalistów polskich na emigracji w Paryżu, Londynie, Szwajcarji, Stanach Zjednoczonych, na Ukrainie i w Rosji. Całość zebranych materjałów bibljograficznych, dotyczących prasy socjalistycznej podano w dwóch układach: w porządku alfabetycznym oraz według przynależności organizacyjnej. Notatki bibljograficzne dla każdego czasopisma zawierają wszelkie szczegóły, jakie udało się zebrać, a więc tytuł i podtytuł, typ wydawnictwa, przynależność organizacyjną, język publikacji, nazwisko redaktora i współpracowników, drukarnię i t. p. Ponadto w wielu wypadkach obok dat o charakterze informacyj ściśle bibljograficznych umieszczono uzupełniające notatki, w których przytoczono szczegóły dotyczące historji poszczególnych czasopism. Ogółem bibljografja obejmuje 449 pism, 1369 dzieł i broszur, 1925 nazwisk, 2365 kryptp- i pseudonimów, w tem 1083 odcyfrowanych.

Omawiane wydawnictwo, niezależnie od nieuniknionych w każdem takiem opracowaniu luk i niekompletności, stanowi jednakże ważny przyczynek do historji ruchu robotniczego w Polsce.

Powakacyjny, 7 zeszyt t. III doskonale redagowanej encyklopedji „Świat i Życie“ zawiera następujące prace: *Myślenie*, St. Balleya, *Nadbałtyckie państwa*, W. Kamienieckiego, *Nafta*, W. Grossmana, *Naród*, W. Stpiczyńskiego, *Narzędzia i maszyny*, S. Żukowskiego, *Naturalizm*, B. Nawroczyńskiego, *Nauka*, J. Łukasiewicza, *Nazwy i nazwiska*, K. Nitscha, *Nerwy*, E. Lotha, i *Niderlandy*, J. Starzyńskiego.

NIKNĄCY ZABYTEK XVIII W.



Fragment kościoła zbudowanego w 1760 r., niknącego w murach nowobudowanego kościoła w Brwinowie. Stary kościół w Brwinowie zbudowano kosztem ks. Baltazara Tarkowskiego, a konsekrowany został w r. 1762 przez ks. Andrzeja Załuskiego, biskupa kijowskiego

HOLENDER O POLSCE

Podajemy ciekawy dokument, list amazonki holenderskiej, p. Bresler do Polskiego Touring Klubu. Pani Bresler konno zwiedziła całą Polskę.

Nie lubię długich artykułów i dlatego w paru zdaniach powiem to, co czuje moje serce.

Drogi Polski kraju, jak niezmiernie mało wiemy naogół o Tobie my, Holendrzy, którzy tak bardzo lubimy podróżować. Teraz po podróży, po zapoznaniu się z waszemi polami, jeziorami, pięknemi borami, malowniczemi górami z Hucułami, z czystemi nowoczesnemi i dawnemi miastami, nie mogę zrozumieć, dlaczego prawie zawsze nasi turyści wyjeżdżają do innych krajów a nie do Polski. Oczywiste, że odtąd namawiać będę moich znajomych do odwiedzania Polski.

Na pochwałę, uznanie i wdzięczność naszą zasługuje Polski Touring Klub i jego wiceprezes p. Czeżowski (którzy naszą wycieczkę urozmaicili bogatym programem), oraz p. Tomaszewski, który niezwykle mile i uprzejmie prowadził nas poprzez piękne i rozległe pola. Ponadto brak mi słów na wyrażenie tego, co czuję, myśląc o obywatelach ziemskich, którzy wszyscy bez wyjątku, gościli nas z taką serdecznością i uprzejmością, że aż nas to chwilami krępowało. I co ciekawe, że chociaż byliśmy w obcym kraju, to jednak zupełnie nie odczuwaliśmy, że jesteśmy cudzoziemcami, lecz wręcz przeciwnie, dokądkolwiek przybywaliśmy, mieliśmy wrażenie, że przybywamy do domu. A przyczyna? Zupełnie prosta: bo wśród polskich rodzin, które spotykaliśmy, a holenderskimi jeźdźcami panowało braterstwo, które bardzo zbliżyło do nas Polski kraj i jego lud.

O samej podróży nie będę mówić, gdyż zapewne czytaliście o tem w waszych krajowych pismach, które zawierały artykuły o przybyciu gości z kraju tulipanów i młynów.

Gdy byliśmy w okolicy między Mogilnem a Warszawą, mieliśmy chwilami złudzenie, że jesteśmy w Holandji... Imponujące wrażenie wywarli na nas Huculi ze swemi bogato haftowanemi strojami, na których widniały szklane i miedziane korale.

A jakie silne i wytrzymałe są koniki górali! One niosły nas przez cały dzień poprzez skaliste przestrzenie, po stromych zboczach, poprzez szumiące potoki — a ani razu przez jedną chwilę nie straciliśmy zaufania do odważnych, wiernych koników.

W Krakowie podziwialiśmy Wawel wraz z zamkiem i katedrą, gdzie spoczywa snem wiecznym Wasz Bohater Piłsudski.

Zresztą wszędzie i ciągle musieliśmy coś podziwiać, coś, co trudno jest opisać, a o czem sama wiesz, droga Polsko. Mogę tylko powiedzieć, że Wy, Polacy, dobrze wiecie, czem możecie zachwycić i ująć cudzoziemców.

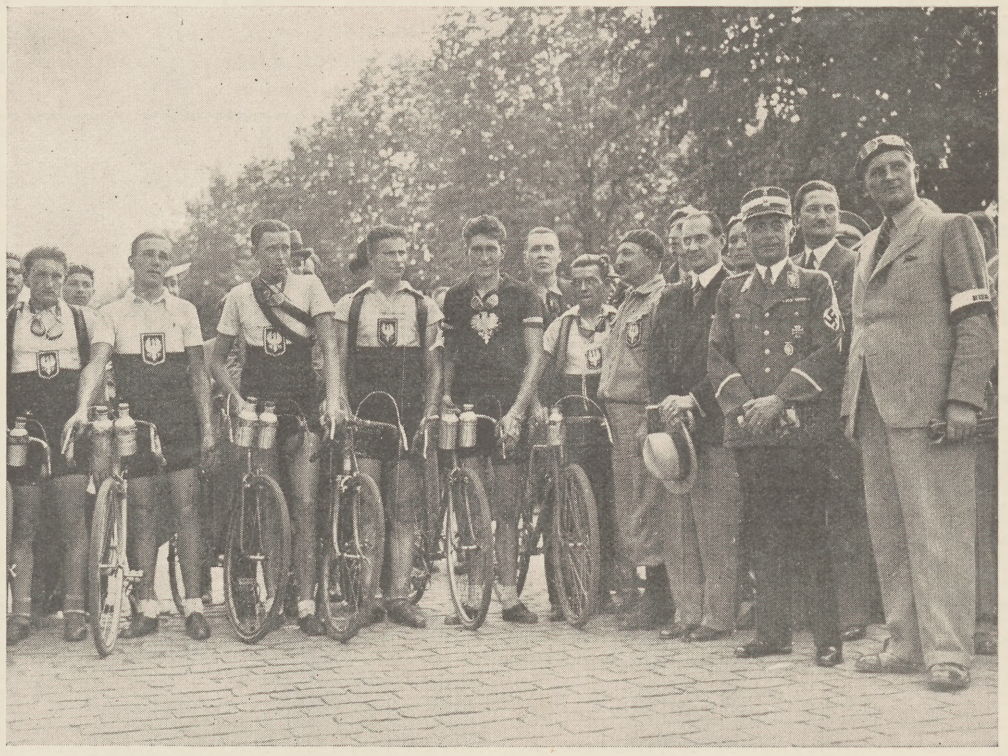
Kiedy spoglądam na fotografje, zdaje mi się, że przeżyłam cudny sen, który szybko minął, szczęśliwie był to nie sen, lecz piękna rzeczywistość.

Kończę list nie ze zwykłem pozdrowieniem i pożegnaniem, lecz ze słowami: „Dowidzenia".

B. Bresler

Werkendam — Holandja

LE RAYON PUDER, PERFUMY WODY TOALETOWE CHERYS

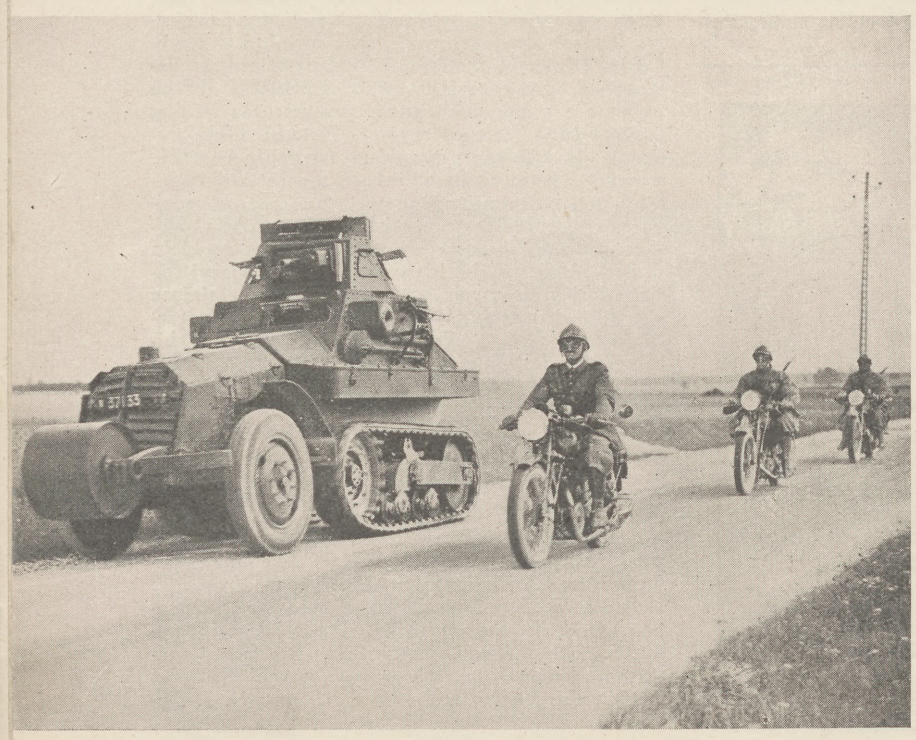


Drużyna kolarzy polskich uczestnicząca w wyścigu Warszawa — Berlin

Wytworne perfumy i woda kolońska
Cocktail
przebojem sezonu
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE
ORSA WARSZAWA

Manewry francuskie koło Reims

Nowoczesny tank z kompanją wojsk na motocyklach



Oficerowie sowieccy, biorący udział w manewrach, podczas wypoczynku



Redaktor: Dr. Jan Gebethner Klisze i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa *Wydawca: Tow. Wydawn. Perjod. Sp. z o. o.*



SKŁAD FUTER

J. K. Dziekanowski

dawniej

H. Kowalewska

Wierzbowa 8,
telef. 5.36-89

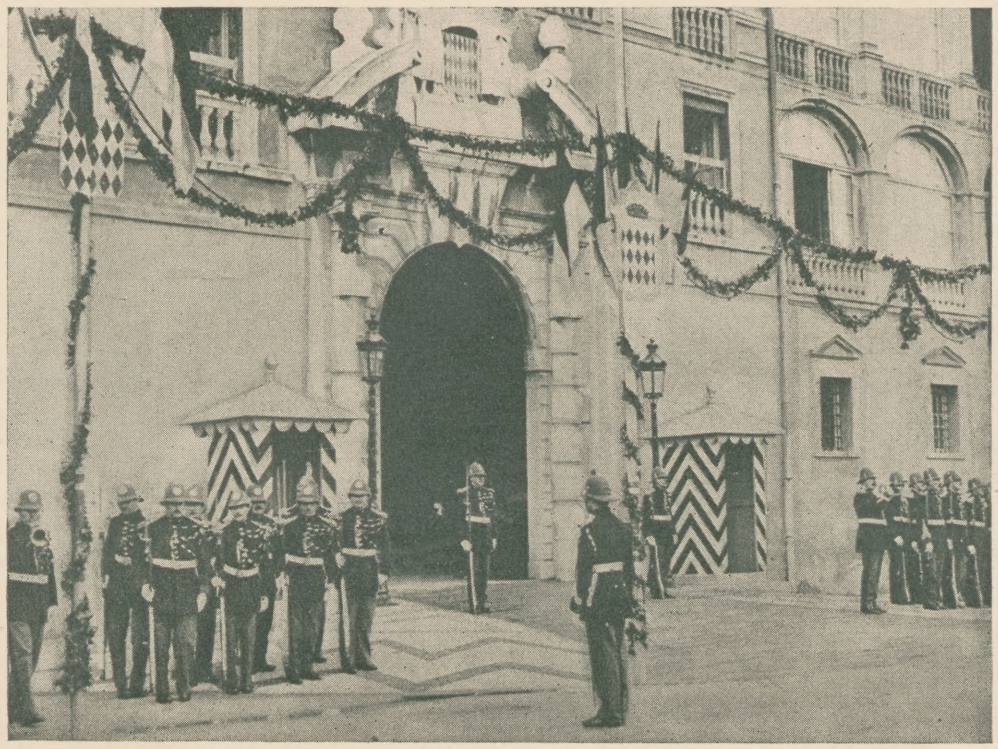
Po powrocie kierownika z Londynu i Paryża polecamy najnowsze modele na sezon jesienny i zimowy.

Ceny bezkonkurencyjne.

Udzielamy kredytu.



W Malchow, na Placu Adolfa Hitlera, postawiono pierwszy pomnik ze swastyką



Rozbrojenie: armja Księcia Monaco, licząca 76 ludzi, została rozwiązana

WYSTAWA DROGOWA JEST WYDARZENIEM DNIA

Zagadnienie rozbudowy sieci drogowej w Polsce już dawno przestało być sprawą interesującą tylko oficjalne sfery rządowe i przedsiębiorstwa prowadzące prace w terenie.

Powołana przed paru laty do życia Liga Drogowa, jako organizacja społeczna, postawiła sobie przedewszystkiem za zadanie rozpopularyzowanie w naszem społeczeństwie idei o konieczności posiadania jaknajgęściejszej sieci dróg o twardej nawierzchni i dobrze utrzymanych. Pragnąc jaknajszersze sfery naszego społeczeństwa zainteresować owem zagadnieniem, a jednocześnie zademonstrować cały dorobek polskiej gospodarki drogowej za okres ubiegły, Liga Drogowa zorganizowała pierwszą w Polsce Wystawę Drogową.

Protektorat nad Wystawą objął osobiście Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Profesor Doktór Ignacy Mościcki. Prezydjum Komitetu Honorowego stanowią: Pan Prezes Rady Ministrów Walery Sławek, Marszałek Sejmu — Doktór Kazimierz Świtalski, Marszałek Senatu — Władysław Raczkiewicz, Gen. Dywizji Edward Rydz-Śmigły — Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, Marjan Zyndram-Kościałkowski — Minister Spraw Wewnętrznych, Józef Beck — Minister Spraw Zagranicznych, Gen. Bryg. Tadeusz Zbigniew Kasprzycki — Kierownik Ministerstwa Spraw Wojskowych, Dr. Władysław Zawadzki — Minister Skarbu, Henryk Floyar-Rajchman — Minister Przemysłu i Handlu, Inż. Michał Butkiewicz — Minister Komunikacji, Jerzy Paciorkowski — Minister Opieki Społecznej.

W skład Komitetu Honorowego wszedł Inż. Aleksander Bobkowski — Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Komunikacji i Prezes Rady Głównej Ligi Drogowej. W skład Komitetu Honorowego wchodzi ponadto szereg przedstawicieli władz państwowych, świata przemysłowego, kierownicy organizacyj społecznych i naukowych oraz szereg wybitnych przedstawicieli świata naukowego. Komisarzem Wystawy został mianowany Stefan Tyszkiewicz.

Udzielenie protektoratu i czynnej współpracy przez szereg tak wybitnych osobistości, stojących naczele władz państwowych i organizacyj społecznych jest najlepszą rękojmią, że Wystawa Drogowa stała się w chwili obecnej zagadnieniem wielkiej doniosłości, a dzięki starannemu przygotowaniu eksponatów, stojących pod każdym względem na wysokości zadania, spełni znakomicie swą rolę.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO"

TYGODNIK ILLUSTROWANY WRAZ Z „BIBLJOTEKĄ POWIEŚCIOWĄ"

miesięcznie zł. 5.50 z odnosz. do domu lub przes. poczt. zł. 6.— zagr. 8.—
kwartalnie zł. 16.— „ „ zł. 17.50 „ 23.50
rocznie zł. 64.— „ „ zł. 70.— „ 94.—

TYGODNIK ILLUSTROWANY WRAZ Z „BIBLJOTEKĄ POWIEŚCIOWĄ" I MIESIĘCZNIKIEM „NAOKOŁO ŚWIATA"

miesięcznie zł. 7.— z odnosz. do domu lub przes. poczt. zł. 7.50 zagr. 9.50
kwartalnie zł. 20.50 „ „ zł. 22.— „ 28.—
rocznie zł. 82.— „ „ zł. 88.— „ 112.—

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA, ZGODA 12. TELEFON REDAKCJI: 604-14; ADMINISTRACJI: 522-14. KONTO P. K. O. 143.



Pałac Ligi Narodów w Genewie



Zbiory

w Meklemburgji

Klisze i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem